

WBP Olsztyn

AS

Nr. 28

11 LIPCA 1937 ROKU
CENA 40 GROSZY



ZASADZKA NA KRÓLA KNIEJI

Fot. Imre von Santho



Kanikuła

Czuję cię w żyłach nabrzmiąłych, w gorącej czuję cię krwi,
rozpalasz mnie, rozplamiasz chwilą namiętą i czułą,
dławiś mnie dłonią rozgrzaną przez parne noce i dni,
królowo zmysłów szalonych, piekąca kanikuło!

Chciałbym ci hymnem płonącym wyśpiewać hołd swój i cześć
spocynych słów rzucić rytm, dyszących słów wrące koło —
lecz mnie przosono tu tylko o... żartobliwy wiersz,
o tobie, kanikuło, mam pisać... na wesoło!

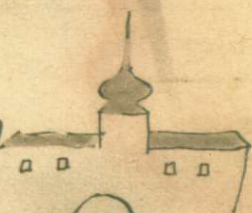
Że jakąś wiotką panienkę ugasza wody prąd,
a pan zwarjował z gorąca pławiąc się pod fontanną,
policjant w kostjum się ubrał, wąż morski wypelza stąd —
tak twierdzi wesoły artysta swoją winiętą zabawną...

Ale wybaczenie... nie mogę wesołych słów znaleźć dziś!
pulsuje we mnie ten żar, co każe omdlewać muskułom,
nabrzmiwa żyły żądzą i rozkosz wsącza do krwi!
nie mogę żartem pisać o tobie, kanikuło!

Ty przecież przemawiasz do mnie ulewą pachnących słów,
ty w noc się parną wydłużasz południem wiecznie gorącym,
namiętym pocałunkiem, pod którym braknie tchu,
uściskiem, skurczem, płomieniem, twojem natchnionem
słońcem!

I gdy się znęcasz nademną i ogień wkrapiasz do żył,
odmawiam chłodu, spoczynku — do ciebie wyprężam ręce,
bo wtedy jest dobrze mi, bo wtedy szczęśliwie mi,
że jestem twej woli poddanym — i niczem więcej...

WITOLD ZECHENTER





ASY NUMERU 28-GO:

POLSKIE BANDERY HANDL.

Szlaki, które podążał w dawnych czasach polski handel, i na których pojawiały się nieraz polskie bandery handlowe. Str. 4-5

TAJEMNICA MROWISKA.

Jak wygląda życie społeczne w państwie najmadrzejszych owadów. Str. 6.

Artyści na cenzurowanym:

ZOFJA GRABOWSKA.

Znakomita odtwórczyni ról stylowych opowiada o swych przeżyciach teatralnych. Str. 8.

KRÓLESTWO BEZ ZIEMI.

Wędrujący naród wybiera swego króla na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie. Str. 11.

KLIMAT DO WYBORU.

O nowoczesnych urządzeniach, regulujących w mieszkaniach i wagonach kolejowych dopływ zdrowego powietrza. Str. 14-15.

POŁOWANIE NA NIEDŹWIEDZIE.

O fortelach myśliwskich mieszkańców Himalajów, z pomocą których łowią oni żywcem groźne niedźwiedzie. Str. 16-17

NA „KRAŃCACH ŚWIATA“.

Obrazki ze szlaku Wielkiej Armji Str. 18.

LAMPY OGRODOWE.

Sredniowieczne wzory w urządzeniach nowoczesnego mieszkania. Str. 19.

Z ZA KULIS MUSIC-HALLU.

Wywiad z twórcą współczesnej rewji muzycznej — Luis'em Lemarchand'em. Str. 20.

Z teki muzycznej „Asa“:

OBEREK

ze Suty orkiestralnej Stanisława Mikuszewskiego. Str. 22.

ZE STRZELBĄ I WEDKĄ.

Jak powinna być ubrana piękna pani, wybierając się na polowanie, lub wyprawę rybolowską. Str. 28-29.

Nowełe. — Wspomnienia o Arturze Grottgerze. — Kącik filatelistyczny. — Gimnastyka poranna. Kosmetyka. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor. — Rozrywki umysłowa. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



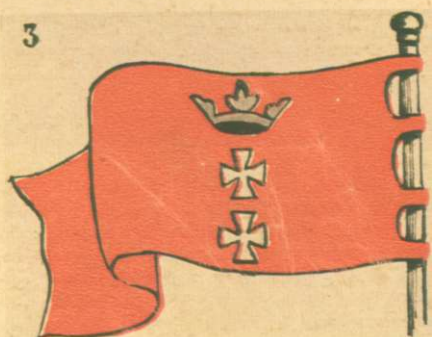
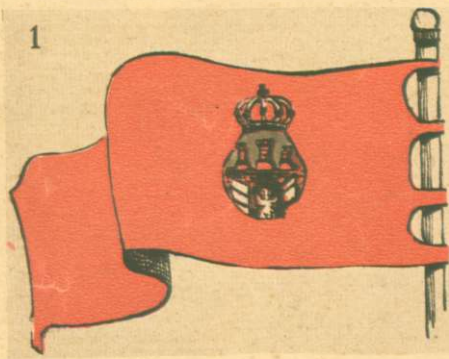
Lipiec jest miesiącem, w którym ze wszystkich stron Polski podążają do południowych krajów liczne wycieczki. Wiele z nich obrabło sobie za cel Italię, której różnorodny krajobraz, wspaniałe zabytki i klimat zawsze nęciły turystów całego świata. Na zdjęciu widzimy Lugano, oglądane z Monte San Salvatore. Tu cudna, pełna słońca dolina, na drugim planie ośnieżone szczyty Alp stwarzają obraz o nieskończonej piękności.

Fot. Zygmunt Borzęcki — Davos.



Obrazek z portu gdańskiego: po lewej obserwatorium astronomiczne, w głębi wielki żuraw, po prawej spichlerze.

POLSKIE BANDE



Handel, aby mógł egzystować i rozwijać się pomyślnie, potrzebował dogodnych dróg. Mogły to być drogi lądowe lub wodne. Kierunek tych dróg stanowił o ruchu i wartości położenia handlowego miejscowości w tych właśnie czasach, kiedy trudności komunikacyjnych nie dało się usunąć. Większa lub mniejsza dogodność drogi była też jednym z warunków rozwoju położonych przy niej miejscowości, tembardziej że drogi w tych czasach stanowiły jeden z głównych ośrodków polityki handlowej.

Przez długie wieki utrzymywały się te same drogi, jako koryta, któreimi toczyły się fale handlu. Drogi te były ściśle określone i nie można ich było zmieniać dowolnie. Ewentualna zmiana ich kierunku groziła zawsze upadkiem położonych przy nich miast, dlatego też miasta zazdrośnie strzegły tych utartych szlaków, starając się zawsze zapobiedz powstaniu bądź też używaniu dróg, któreby te miasta obchodziły, zwracając w inną stronę ruch handlowy.

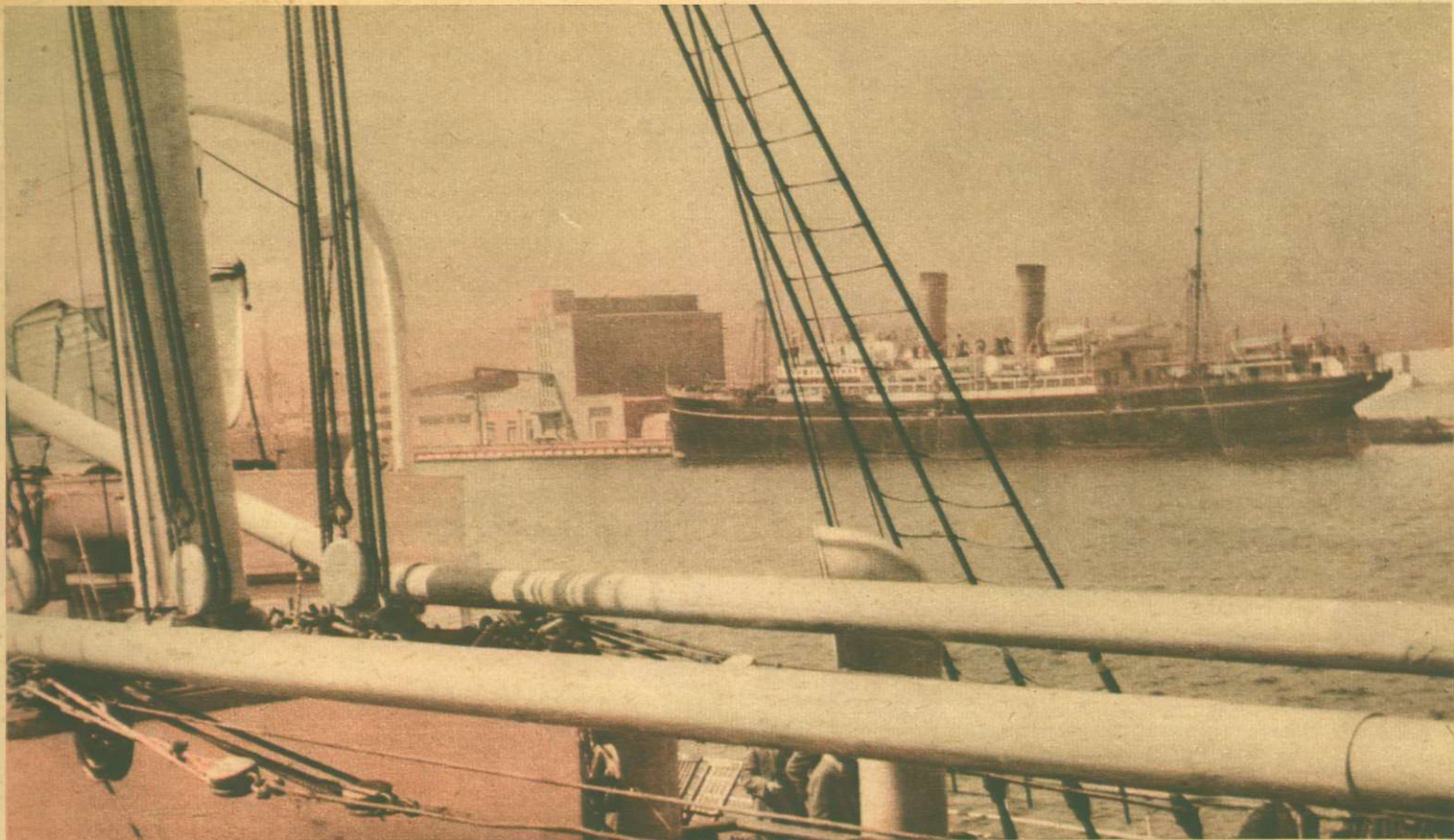
Dawny Kraków, posiadał wszystkie wspomniane warunki handlowe, to też nie dziwnego, że już za Mieszka I. stanowił dosyć ożywione targowisko handlowe, choć ruch ten nie miał jeszcze większego znaczenia. Dopiero przywilej lokacyjny 1257 roku sta-

nowił dla handlu, Krakowa poważne znaczenie, ściągając do niego kupców, którzy obdarzeni niezbędnymi swobodami i wyodrębnieni od reszty mieszkańców, rozwinęli handel miasta, skierowując go na właściwe tory. Zadanie ich było o tyle już ułatwione, że na terenie Krakowa lub w pobliżu, przecinały się drogi handlowe z południa na północ i z zachodu na wschód. Dzięki tym dogodnym warunkom, Kraków utrzymywał stosunki handlowe ze Śląskiem, któremu dostarczał soli, aż po Wrocław, gdzie sól nasza spotykała się z olą haską idącą od północy. Sól była też przedmiotem eksportu i na Węgry, mimo niejednokrotnych zakazów monarchów, chcących zastrzec rynek węgierski dla rodzimej soli.

Kraków brał też żywy udział w handlu zachodniej Europy, a kupców krakowskich widzieć można było we Flandrii, dokąd udawali się na własnych statkach, wywoząc głównie ołów, воск, a także i drzewo, przywoząc natomiast słynne na całą Europę sukna flandryjskie. O wiele donioślejszymi były stosunki handlowe Krakowa ze wschodem, który dostarczał Europie cennego jedwabiu, bądź też poszukiwanych korzeni. Przez Kraków dostawały się te towary do Flandrii, skąd rozchodziły się po całej Europie. Tę rolę handlową stracił Kraków w późniejszych wiekach. Łączyło się to z kwestią upadku Konstantynopola w 1453 roku. Morze Czarne, na którym skupiał się ruch handlowy zamknęło się, na wodach Archipelagu na wybrzeżach Lewantu i Syrii, zniknęły osady chrześcijańskie będące emporiami i zaległa martwość handlowa.

Nie bez wpływu na zmianę dróg handlowych pozostały i odkrycia geograficzne, które spowodowały przesunięcie się ognisk handlu z portów włoskich do Lizbony, a następnie Antwerpii i Amsterdamu. Polska, a ści-

1. Jedna z dwóch bander miasta Krakowa, przedstawiająca herb miasta w czerwonym polu. Druga bandera z czasem zarzucona posiadała białego orła w niebieskim polu.
2. Bandera miasta Gdańska: w czerwonym polu dwa srebrne krzyże, nad nimi złota korona królewskich Polski, Węgier lub Szwecji.
3. Bandera handlowa Królewca: w srebrnym polu trzy niebieskie pasy poziome, w środku w srebrnej tarczy czerwony orzeł.



Gdynia — chluba polskiego morza, posiada nowoczesnie urządzony port handlowy rozwijający się w szybkim tempie.

RY HANDLOWE

ślej Kraków, który w XV wieku odgrywał jeszcze rolę pośrednika handlowego Europy ze wschodem, stracił tę swoją rolę na rzecz miast północnych, położonych bliżej bezpośrednich już ognisk handlu. Tak więc streszczałaby się rola handlowa Polski na tle handlu europejskiego.

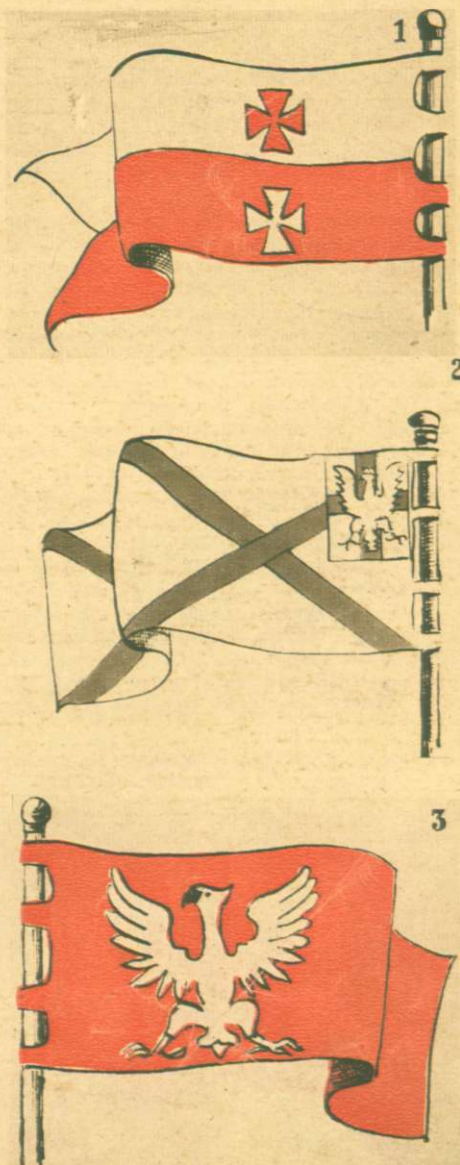
Przed Polską stanęły teraz nowe zadania i nowa rola w dziejach Europy, przygotowana niejako zmianą oblicza społecznego Polski tj. przeobrażeniem stanu rycerskiego na szlachtę — ziemian. Nie więc dziwnego, że Polska, potężna bronią i urodzajną glebą, urosła wkrótce do potęgi gospodarczej Europy. Narody europejskie nie gdzieindziej, jak tylko w Polsce uzupełniały swoje zapasy. Znane są wypadki, ratowania przez Polskę od głodu odległych nieraz krajów np. 1392 roku zawinęło do portu gdańskiego 300 okrętów francuskich, angielskich i holenderskich, żądając pszenicy, która z czasem dotarła drogą wodną do Hiszpanji i Włoch. Przy masowym wywozie płodów rolnych, droga wodna Wisły i jej dorzecze górowała zdecydowanie nad drogami lądowymi choć przynależało, że technika transportu wodnego była w owych czasach bardziej skomplikowana od transportu lądowego. Wy tłumaczenia tego faktu szukać należy w kosztach obu rodzajów transportów. Dziś jeszcze, mimo istnienia kolei żelaznych, transport wodny jest tańszy od lądowego w przeciwstawieniu do owych czasów, kiedy konkurowały z sobą: wóz w konie zaprzężony, jeżdżący po lichych drogach i statek wodny, mogący zabrać bez porównania większy ładunek.

Dodać należy, że rozwojowi żeglugi w tych czasach sprzyjało rolegte dorzecze Wisły, obfitujące w wodę więcej niż dzisiaj. Dlatego też handel Polski skupiający się dawniej w Krakowie zogniskował się teraz w mia-

stach nadmorskich, położonych tuż przy ujściu Wisły, a więc w Gdańsku, Elblągu, Malborgu i Królewcu, który choć nie przy ujściu Wisły leżący, to jednak łącznie z tymi miastami odegrał wybitną rolę w dziejach tak politycznych, jak też ekonomicznych zarówno Zakonu Krzyżackiego, jak też Polski, Prus czy też Szwecji. Z miast tych, Elbląg i Gdańsk jako leżące u ujścia tej samej rzeki, choć na przeciwległych końcach jej delty i pośrednicząc w handlu między tymiż samymi obszarami, stanęły z konieczności do współzawodnictwa. W walce tej Gdańsk miał lepszą broń, bo dogodniejsze położenie. Leżał nad samą Wisłą i to w pobliżu ujścia do otwartego morza, gdy przeciwnie Elbląg oddalony był o milę od Wisły i w pobliżu tego jej ujścia, które wiodło do zamkniętego i długą mitręgę powodującego Hawru Fryzkiego. Dlatego też Gdańsk i pod względem wielkości swej i pod względem obrotów handlowych, bogactw, bądź też znaczenia, stanął wyżej od Elbląga, choć i temu niejednokrotnie jasne przyswiecały chwile.

W dziejach swych Elbląg okazał się też wdzięczniejszym dla Polski niż Gdańsk.
Dokończenie na str. 31-ej

1. Bandera handlowa Elbląga przedstawia pole dwudzielne srebno-czerwone z krzyżami umieszczonymi: srebrny w polu czerwonym, czerwony w srebrnym. — 2. Oprócz specjalnych bander statki handlujące zbożem posługiwały się banderą białą z niebieskim krzyżem św. Andrzeja, w której w prawym rogu widniała tarcza z niebieskim krzyżem a na nim biały orzeł. — 3. Inne miasta handlowe, nie posiadające własnej bandery, używały bandery królewskiej bądź też narodowej z białym orłem w czerwonym polu.





mrówki leśne, zakładają kopce z jgliwia i grudek ziemi, które stanowią wspaniałe budowle, wzniesione z wielkim nakładem iscie „mrówczej” pracy.

Na lewo: U sklepienia komory wiesz mrówki amerykańskie z rozdętymi odwłokami napełnionymi miodem. Na dole widzimy zgłodniałą mrówkę, która korzysta z zapasów swej towarzyszki.

Z tajemnic mrowiska

Mrówki obdarzone wysoko rozwiniętym instynktem społecznym, odznaczają się dużą dozą inteligencji. Państwka ich obejmująca wielką ilość „poddanych”, cechuje ład i doskonała organizacja. Każdy z mrówczych „obywateli” ma pewną wyznaczoną czynność, którą wypełnia stale i niezmiennie, z wielką sumiennością.

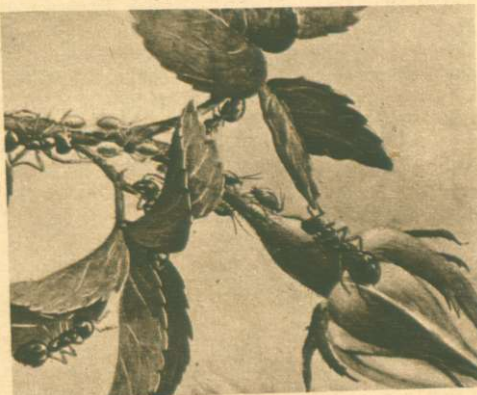
Królowe-mrówki są specjalnie honorowane, a składanie jaj jest jedyną ich funkcją. Robotnice natomiast spełniają obowiązki bardzo różnorodne. Jedne z nich należą do orszaku królowej, starając się o jej wygodę, do innych należy budowa gniazda i naprawa w razie uszkodzenia, jeszcze inne starają się o pożywienie, troszczą się o potomstwo, pilnują mrowiska.

Niezwykle pomysłowo przeprowadzają wschodnio-indyjskie mrówki *Oecophylla smaragdina* remont uszkodzonego gniazda. Gdy misterna ich siedziba utworzona z liści, zostanie rozerwana, radzą sobie w ten sposób, że jedne z mrówek zbliżą szczękami do siebie uszkodzone brzegi liścia. Inne niebawem przychodzą im w pomoc. Zjawiają się mianowicie pomocnice w postaci „nianiek” mrówczych, które niosą ze sobą larwy. Jaką rolę mają te mrówki tutaj do spełnienia? Oto okazuje się, że larwy posiadają zdolność snucia przedziwa, przysunięte więc do brzegów liścia przez swe nianki i odpowiednio przez nie kierowane, zasnuwają delikatną nicią powstałą szczelinę tak, że wkrótce gniazdo znowu jest bezpieczne.

Gniazda zakładają mrówki w różnych miejscach i budują je z różnorodnego materiału. Jedne gnieźdzą się w drzewach, inne na łąkach lub miedzach, jedne budują gniazda z liści, inne, jak dobrze nam znane



Scena z życia mrówek: mrówka „amazonka” unosi zdobycz, druga zaś zabija ograbioną ofiarę.



Mrówki „wypasają” mszyce na gałązce róży.

Wewnątrz takiego mrowiska biegną w różnych kierunkach korytarze, które prowadzą do poszczególnych komór, posiadających różne przeznaczenia. Są tam komnaty królewskie i sypialnie, w których mrówcze niańki wychowują i karmią nowożyłe larwy, które zmienione potem na nieruchome poczwarki, wynoszą na słońce i świeże powietrze.

Nie brak także specjalnych spiżarni, w których gromadzą zapasy, a co najciekawsze, istnieją nawet specjalne zagrody dla mrówczego „bydła” oraz ogródki starannie pielęgnowane.

Któżby pomyślał, że te maleńkie owady odznaczają się takimi zdolnościami w zakresie hodowli!

U pospolitej mrówki czarnej (*Lasius niger*), niektóre z robotnic wyspecjalizowane

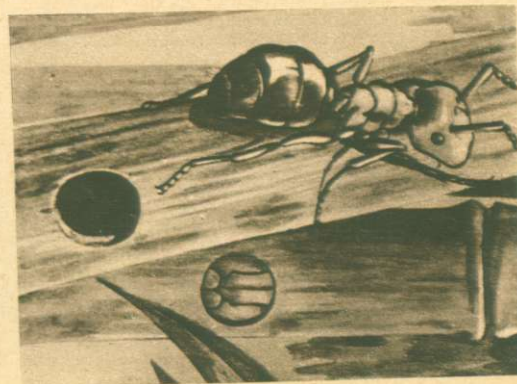
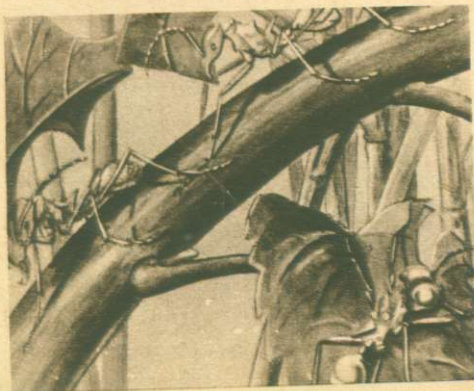
są jako hodowcy bydła. Jakżeż wygląda to mrówcze bydło? Stanowią je również owady-mszyce, znane jako pospolite szkodniki różnych roślin. Mrówki hodują je w zagrodach i troszczą się o nie, jako o dostawców słodkiego płynu, którym się żywią. Na złe, nie tylko mszyce, ale także ich jaja wciągają w głąb mrowiska, aby tam bezpiecznie mogły przezimować. Mrówki trzymają też swe „dojne krowy” na pobliskich „pastwiskach”, które stanowią gałązki różnych krzewów lub drzew. Tam też liczne mrówki podążają na „podój”.

Mszyce na końcu swego ciała posiadają rurki, przez które wydalają niepotrzebne dla swego organizmu substancje w postaci lepkiej cieczy. Za nią to przepadają mrówki i chciwie ją zlizują. Doją więc mszyce w ten sposób, że czułkami swymi drażnią ich rurki, powodując obfite wydzielanie się smakowitego napoju. Bronią też swej trzody przed jej nieprzyjaciółmi a w szczególności przed larwami biedronki, dla których mszyce stanowią przysmak nielada.

Inne mrówki jak szuba (*Atta cephalotes*), żyjące w tropikalnych lasach Ameryki, odznaczają się wybitnymi zdolnościami ogrodnictwa. Kunsztownie umieją hodować w specjalnych, na ten cel przeznaczonych, ogródkach pewien gatunek grzyba (*Rhizites gongylophora*), którego smakiem się delektują. Niby doświadczeni hodowcy, którzy wiedzą, że dla pomyślnego rozwoju grzybów potrzebne jest odpowiednio podłoże, mrówki te zakładają hodowle na starannie przygotowanych grzędach kompostowych. Interesująco przedstawia się przygotowanie takiego żyznego podłoża, koniecznego dla uprawy grzyba.

W olbrzymich gromadach mrówki wapa-

Poniżej od lewej: Mrówki „amazonki” wycinają liście na kompost do ogródka. — A oto mrówki-robotnice (*Oecophylla smaragdina*) pracują przy naprawie gniazda. — Widoczne wejście do gniazda zamyka mrówka-odźwierna swoją olbrzymią głową.



dają na plantacje kawy, pomarańcz lub cytryny, wyrządzając nieobliczalne wprost szkody. Obsiadają one bowiem liście, wypierając z pośród nich najbardziej soczyste i ostre, nłby nożyce, szczękami, wycinają z nich okrągłe lub wielokątne płatki. Bynajmniej nie stanowią one ich pożywienia, ale trzymając je wysoko nad swymi głowami nłby parasole, maszerują szeregami do gniazda. Tutaj zdobyty w wyprawie materiał powierzą najmniejszym robotnikom, które są specjalistkami w hodowli grzyba.

Pracowite mrówcze ogrodniczki przetrzymują te liście i mieszają je razem ze słoną, rozrabiając na papkowatą masę, z której sporządzają następnie brytki, przypominające swą porowatą budową gąbki. Z papki tej wnoszą kompostową grzędę, na której rozsiewają zarodniki grzyba. Są one doskonałymi znawczyniami i jeżeli przypadkiem dostanie się na ten mrówczy inspekt zarodnik jakiegos innego grzyba, natychmiast go usuwają, plewiąc starannie swój ogródek.

Na grzędzie po pewnym czasie ukazują się rozgałęzione strzępki grzyba a na nich lczne, drobne nabrzmienia, przypominające wyglądem swym małe kłapki. One to właśnie stanowią smakowity pokarm dla wszystkich mieszkańców olbrzymiego mrowiska. Nic dziwnego, że w razie, gdy młoda królowa opuszcza gniazdo dla założenia własnego mrowiska, nłjako w posagu zabiera ze sobą zarodniki cenne grzyba, aby jego hodowlę prowadzić i w swoim nowo założonym państwie.

Jako zapasy na „czarną godzinę“ amerykańska mrówka (Myrmecocystus hortideorum) przechowuje w spiżarniach swego gniazda żywe zbiorniki z miodem. Oto niektóre z towarzyszek, wiedzione instynktem, zostają zamienione w... baryłki, wypełnione słodkim napojem. Jedną przy drugiej, napełnione obficie, wiszą u pułapu komory.

Kiedy zajdzie słońce, mrówki gromadnie opuszczają swe gniazdo i wędrują na pobliskie dęby, gdzie na liściach odnajdują kuliste galasówki. Przez całą noc aż do świtu pracują bez wytchnienia, zlizując słodką ciecz, jaką galasówki ze siebie wydzielają. Po powrocie, częścią miodu obdzielają zgłodniałe strażniczki, pilnujące gniazda, resztę zaś oddają wybranym mrowkom jako zapas na przyszłość. W lecie, gdy galasówki

Z prawdziwą przyjemnością możemy donieść naszym Czytelnikom, że proces, wytoczony przez naszych wybitnych filatelistów pp. Tislowitza, Łaskiewicza i Rachmanowa — p. Millerowi z Cieszyna został zakończony wyrokiem w I instancji. Tak, jak mogli się tego spodziewać prawdziwi zbieracze i miłośnicy filatelistyki p. Miller został skazany na 4 i 5 miesięcy aresztu (z zawieszeniem) oraz na grzywnę. Werdykt ten kończy największy proces filatelistyczny, jaki dotychczas wytoczony na ziemiach Polski. Wprawdzie obie strony zapowiedziały apelację, niemniej jednak większych zmian w wymiarze kary nie należy się spodziewać i możemy twierdzić, że sprawa znaczków t. zw. „wydania krakowskiego“ została ostatecznie załatwiona. Opracowanie profesora St. Miksteina nie może już być przez nikogo uważane za niemiarodajne, a przestroga dla tych, którzyby chcieli posługiwać się w przyszłości tego rodzaju „bronią“, co p. Miller, niech będzie wyrok Sądu w Cieszynie.

Mnóstwo nowości ukazało się w ostatnich czasach: Holandia, Jugosławia oraz Stany Zjednoczone wydały znaczki pamiątkowe, wzgl. dobroczynne, u nas zaś wydano kilka dni temu, tak dawno już zapowiedziany, znaczek z Marszałkiem Śmigłym-Rydzem. Najrozmaitsze wersje krążyły na temat, czy i jakie bloki pamiątkowe ukazać się z okazji wizyty króla rumuńskiego Karola II, w każdym razie jednak

Oto nierozzerwalna trójka: Słońce, woda i NIVEA!



Krem NIVEA od
zł. 0,40 — 2,60
Olejek NIVEA od
zł. 1,— — 3,90
126

Pebeco Spółka Akcyjna w Poznaniu

Wypadki oparzenia słonecznego dowodzą, że skóra jest słaba. Zatem należy ją wzmocnić. Używajmy do tego celu tylko oryginalnego Kremu NIVEA, bo jedynie NIVEA zawiera Euceryt, środek wzmacniający skórę. Skóra wzmocniona NIVEA jest odporniejsza i nie ulega tak łatwo oparzeniu słonecznemu, a potem nabiera zdrowego i ogorzałego wyglądu nawet podczas kąpiei w pochmurne dni. Nadto będziemy podczas chłodniejszych dni odporniejsi na zaziębienie.

nie wydzielają już słodkiej cieczy, mrówki żyją na koszt nagromadzonych zapasów. — Podchodzą kolejno do żywych zbiorników z miodem i drażnią je czułkami. Przytykając pyszczek do pyszczka karmicielki, zaspokajają swój głód i pragnienie.

Południowo-europejskie mrówki (Polyergus rufescens) zwane „amazonkami“, nie umieją same pracować i starać się o pokarm. Często więc urządzają napady na mrowiska swych krewniaczek i rabują ich larwy oraz jajka, przenosząc je do swego gniazda. W ten sposób zdobywają niewolników, którzy mają im służyć w przyszłości i dbać o ich utrzymanie. — Zaatakowane mrówki, oszołomione nagłą napaścią, nie mogą się nawet bronić i najczęściej umykają. Jeżeli przypadkiem jakaś odważniejsza stawiał opór wrogowi, ginie niechybnie, przebita ostremi szczękami.

Mrówki strzegą swego mrowiska i pewna

ilość z pośród robotnic przeznaczona jest specjalnie do pilnowania. Istnieją też żołnierze, których obowiązkiem jest stanąć w szeregach walczących, gdy mrowisku zagraża niebezpieczeństwo.

Jedną z południowo-europejskich mrówek (Colobopsis truncata) odznaczającą się wybitnie rozwiniętą głową, wykorzystuje ją jako żywą zaparę, zamykającą wejście do gniazda. Gdy młozki mrowiska powracają do swej siedziby, dotykają odźwierną swymi czułkami odpowiednią ilość razy. — Poznaje ona to „umówione hasło“ i wpuszcza je do wnętrza. Biada jednak jakiemuś intruzowi! Ginie on marnie w potężnych szczękach mrówki-strażniczki.

Niezwykle ciekawe życie mrówek stanowiło oddawna przedmiot badań wielu uczonych, którzy i dzisiaj jeszcze pracami swymi zapoznają nas z organizacją tych społeczeństw.

Dr M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Górny rząd od lewej: Najnowszy znaczek polski z podobizną Marsz. Śmigłego-Rydzka, oraz dwa znaczki jugosłowiańskie z podobizną króla Piotra i jego brata ks. Tomisława. W środkowym rzędzie: Serja znaczków holenderskich, wydanych na cele dobroczynne. Na dole: Znaczek U. S. A. z widokiem wojskowej akademii w West Point.

wa w Gdańsku. Posiadaczom pierwszego polskiego bloku z 1928 r. podajemy przyjemną zapewne wiadomość, że Michel zmienił jego cenę na 50 Rm. (na liście 100 Rm!!).

(Ukażą się 3 bloki 4x25, 4x50 g i 4x1 zł, bez dopłat).

Znaczek z Marsz. Śmigłym-Rydzem jest bardzo starannie wykonany, ale ustępuje np. znaczkom za 25 i 30 gr. („legjonowym“). Niemniej stanowi on bardzo pożądaną nowość i zapewne wkrótce ukażą się dalsze wartości.

Dobroczyzna serja holenderska przedstawia się mniej więcej tak, jak i w ubiegłych latach. Są to 4 wartości z wizerunkami niezonych: 1½ c. (+1½ c. sepia, J. Maris 1837—1899; 5 c. (+3 c.) zielona, prof. de le Boë Sylvius 1614—1672; 6 c. (+4 c.) lila, J. v. d. Vondel 1587—1679; 12½ c. (+3½ c.) A. v. Leeuwenhoek 1632—1723. Format 25x32 mm, wykonanie: staloryt, nakład: około 300.000.

Również w Jugosławii stawki na cele dobroczynne (dla dzieci) nie są wygórowane. Na reprodukowanych znaczkach za 0,75+0,75 din. (zielony) i 1,5+1 din. (czerwony) widzimy króla Piotra wraz z bratem. Serja obejmuje jeszcze 3 wyższe wartości, format: 27x31 mm.

Reprodukujemy ostatnią już markę z serji na cześć amerykańskiej armji i floty. Akademia wojenna w West Point, którą na niej widzimy, to olbrzymi gmach, którego lokatorem przyszłowiec dewiza: „duty, honour, country“ (obowiązek, honor, ojczyzna).

W. H.

PŁASZCZE A. BROSS-RYNEK 12
damskie i męskie.

szkoda, że nie były one już w obiegu, gdy Dostojni Goście znajdowali się na ziemi naszej Ojczyzny. Bez wątpienia była to najbardziej uzasadniona okazja do wydania (pocztowo niepotrzebnego znaczka), aniżeli ostatnia wysta-



FILATELIŚCI! Największy wybór znaczków, przyborów. Cenniki bezpłatnie. Jan Witkowski, Poznań, Al. Marcinkowskiego 7

Artyści na cenzurowanym.

Z O F J A

GRABOWSKA

Dzisiaj na cenzurowanym zasiada p. Zofja Grabowska, piękna i wysoce utalentowana artystka teatrów warszawskich, strojna w aksamity stylowej szaty, jako Sancja z „Cezara i człowieka“, sztuki granej obecnie w Teatrze Polskim. Dobrze się czuje artystka w tym kostjumie, tworzy z nim pięknie szarmonizowaną całość.

Gładko zaczesane, ciemne włosy, słodka dziewczęca twarzyczka, pełne smutku i zadumy oczy. W tych dużych, zielonych oczach potrafią się jednakże czaić i niepokojące ogniki: dziewczęca słodycz ustępuje miejsca wyrafinowanej zmysłowości, gdy artystka gra jedną ze swych niesamowitych postaci kobiecych, w których odtwarzaniu celuje. Taką była Zofja Grabowska w oryginalnej sztuce czeskiego autora Capka „Tajemnica Makropulos“, jako niezapomniana Beatrix Cenci na poznańskiej scenie, Salome w „Uczcie Herodjady“ Kasprowicza. Potrafią być te oczy groźne i tragiczne, gdy gra Kasandrę w „Odprawie posłów greckich“, natchnione w roli Hestji z „Wyzwolenia“.

Zofja Grabowska, jedna z niewielu



Zofja Grabowska w roli Sancji w sztuce Nowaczyńskiego „Cezar i człowiek“...

Na lewo: ...i jako Rochela w „Judaszu“ K. H. Rostworowskiego.

artystek grających role amantek, posiadała w wysokim stopniu sztukę charakteryzacji, unikając przez to szablonowej maski urody, nużącej widza na przestrzeni szeregu ról. Świetnie nosi kostjum. Jest aktorką stworzoną do ról par excellence stylowych.

— W najpiękniejszej toalecie nowocześniejszej nie czuję się tak dobrze, jak w kostjumie. Wierzę w reinkarnację dusz — mówi artystka napół żartobliwie, napół serjo — a kto wie, czy w którymś tam wcieleniu nie byłam jakąś księżniczką czy inną możną damą, strojną w robiony, obcisłe staniki, naszyjniiki z pereł, bogate łańcuchy

i naramienniki. Gdy gram w takim kostjumie, zdaje mi się, że jestem poprostu sobą. Kostjum nie sprawia mi żadnych trudności; wprost przeciwnie, dopomaga mi w grze i przejęciu się rolą.

Tem samem zapewne tłumaczy się też wielkie zamięłowanie artystki do antycznej biżuterji, w którą tak lubi się stroić, wprowadziwszy zarazem i w życiu codziennem do swych toalet jakiś sobie właściwy, odrębny styl, świetnie zastosowany do jej urody.

Zofja Grabowska rozpoczęła swą karierę sceniczną na deskach krakowskiej „Bagateli“, zająwszy z miejsca, dzięki swym warunkom i talentowi czołowe miejsce w zespole. Potem przyszła kolej na Poznań, Łódź, a wkońcu zagarnęła ją stolica, na której scenach zdobywa sobie z każdą nową rolą, a ostatnio Sancją w Teatrze Polskim coraz większą sympatję publiczności i uznanie prasy.

Zofja Ordyńska.

Koboldy

WANDA DE RICHE

Mato osób zdaje sobie sprawę z tego, że nasz rozwój cielesny, a również duchowy, przedstawić można graficznie linją krzywą, której największe wygięcie odpowiada pełni sił żywotnych, a ramiona — wstępujące i zstępujące — młodości i starości człowieka. Początek i koniec tej krzywej, która odbiega od poziomu, określamy w życiu potocznym mianem urodzenia się i śmierci. Życie jest więc równoznaczne z wzniesieniem się nad poziom, a opadanie wdół zbliża nas do niebytu.

Teoretycznie rzecz biorąc, poszczególnym miesiącom i dniom czasokresu młodości odpowiadać muszą jednak jakieś miesiące i dni w wieku podeszłym, gdyż krzywa naszego życia znajduje się w swoim przebiegu zawsze dwa razy w tej samej odległości od poziomu, wyobrażającego nicotę. Człowiek winien więc w swoim życiu chwilę i każde wrażenie przeżyć powtórnie, chociaż w odwrotnym kierunku, a jedynym tego warunkiem jest przebycie szczytu, oznaczającego najwyższy rozwój jego sił fizycznych. I nie ulega wątpliwości, że tak dzieje się rzeczywiście. Ale niemożność stwierdzenia, że minęliśmy okres największej tężyny względnie nieświadomości, kiedyśmy go minęli, przekreśla wszelkie nasze rachunki i obliczenia. Tylko przez porównanie i drobniące studjum dziejów ludzi wielkich, głośnych i sławnych upewniamy się w pewnej mierze w przekonaniu, że wszystko w życiu przychodzi dwa razy.

Może nie zastanawiałbym się nigdy nad wartością tej hipotezy, gdyby nie Henryk Oleski, mój nauczyciel i opiekun, który był jej gorliwym zwolennikiem. I to, co od niego słyszałem, mogłoby nawet uważać za jej potwierdzenie w praktyce. Albowiem dzięki zbiegowi okoliczności znalazł on punkty zaczepne, które pozwoliły mu ustalić przebieg najwyższego wzniesienia, jakie osiągnęła jego życiowa krzywa. Punktami temi były pewne wydarzenia, powtarzające się okresowo — wydarzenia, o charakterze tak dziwnym, że nie mógł ich nigdy przeoczyć. Utrwały się one w jego pamięci w najdrobniejszych szczegółach i dały mu możność porównania. Były też dla niego, jakby ostrzeżeniem na przyszłość; co więcej, umożliwiły prawie że precyzyjne oznaczenie daty śmierci.

Historja, jaką mi opowiedział mój opiekun, zakrawa na bajkę, jeśli jednak weźmiemy pod uwagę jej zakończenie i wnioski, wyprowadzone przez niego samego, w duży każdego z nas zbudzić się muszą wątpliwości. Ponieważ nie okazał się kłamcą, a potwierdzić to mogą świadectwa licznych ludzi, którym zapowiedział, kiedy umrze i ponieważ trudno uważać go za proroka, byłbym skłonny zapatrywać się na problem określanej zgóry śmierci Henryka Oleskiego jako na jeden z nielicznych i jaskrawych dowodów, przemawiających za teorią istnienia wspomnianej „krzywej żywota“, którą

uzmysłowić sobie możemy tylko graficznie, ale która bezwzględnie nie jest pojęciem oderwanym.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że ludzie milczący i zamknięci w sobie miewają od czasu do czasu chwile szczerości, w których okazują nieuzasadnioną chęć do zwierzeń. Doprawdy, nie mógłbym powiedzieć, co skłoniło mego opiekuna do opowiedzenia mi swojej historji. Nie darzył mnie nigdy zbyt wielkim zaufaniem, a różnica wieku sprawiała, że i ja przywykłem odnosić się do niego raczej z szacunkiem, niż poufałością. W danym wypadku — może po raz pierwszy i ostatni w życiu — zwrócił się do mnie jednak, jak do przyjaciela i kolegi i narażając się nawet na szyderstwo, mówił o sobie rzeczy, które mnie zdumiały. Nigdybym go nie posądził o romantyczne skłonności, a jednak wówczas wydał mi się marzycielem, który w otaczającym nas prozaicznym świecie szuka cudów i jak wielkie dziecko widzi to, czego inni już widzieć nie potrafią.

Zaczął się od uwag na temat ludowych podań i bajeczek. Do ławki, na której siedzieliśmy w Parku Miejskim, podszedł przekupień, proponując nabycie jednej z książek, przyniesionych przez niego w podręcznej torbie. Były to popularne „dzieła“, poświęcone pamięci Rinaldiego, Ali Baby, Aladyna, Pięknej Meluzyny i innych znakomitości tego rodzaju. Barwne karty tytułowe przemawiały do wyobraźni. Nie mogłem oderwać oczu od podobizny sympatycznych karzełek, rozpaczających nad losom Snieżyczki, zamkniętej w szklanej trumnie. I nawet po odejściu przekupnia starałem się odtworzyć w myśli poszczególne epizody tej historji, którą czytałem przed laty i która wzruszyła moje dzieciinne serce.

— Niestety! — rzekłem z westchnieniem. — Minęły czasy, kiedy człowiekiem opiekowały się krasnoludki. Krasnoludki z długimi brodami i w śmiesznych, ogromnych czapkach...

Opiekun mój, który trwał w milczeniu, kreśląc laską tajemnicze znaki na piasku chodnika, podniósł głowę i spojrzał na mnie znacząco.

— Jesteś tego pewny? — zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

— Byłżebyś innego zdania? — rzekłem.

Nie kwapił się z odpowiedzią, ale po chwili, kiedy już zapomniałem o sprzedawcy książek i popularyzowanych przez niego baśniach, wrócił niespodziewanie do tego samego tematu.

— Karzełki, duchy opiekuńcze, koboldy, stróż domowego ogniska... — rzekł. — Tak... Wszystko to dzisiaj puste słowa. Dla nas, ludzi dojrzałych, postacie z legend i baśni. Ale gdybyśmy tylko sięgnęli pamięcią w przeszłość...

— Mój drogi — dodał, zwracając się w moją stronę. — Ja sam spotkałem kilka razy w życiu twór, który mógłbym uważać za opiekuńczego ducha.

N O W E L A

— To ciekawe — rzekłem.

Przestał kreślić na piasku hieroglify.

— Mogę opowiedzieć ci tę historję — rzekł. — Ma ona znaczenie nietylko symboliczne... Jakby należało przypuszczać.

Spojrzał na mnie ukradkiem, ale widząc na mojej twarzy tylko zdziwienie, przestał ociągać się.

— Wiesz dawno — rozpoczął swe opowiadanie — że ojciec mój miał niewielki majątek ziemski na Podkarpaciu. Wychowałem się pod opieką bony i aż do czasów gimnazjalnych przebywałem stale w domu rodzicielskim. Matka odumarała mnie w dzieciństwie. Przypominam ją sobie, jak przez sen. Wnosząc z portretu, który wisiał w sypialni ojca, musiała to być kobieta piękna i inteligentna. Ale nie chcę rozwodzić się nad szczegółami rodzinemi.

Mieszkaliśmy w starym dworze, jednym z tych drewnianych, kilkunastu-letnich budynków, porostłych dzikiem winem i otoczonych klombami róż, malw i georginij, które spotyka się jeszcze gdzieś na zapadłej prowincji. Kochałem ten dworek i uważałem go za siedzibę wszelakiego szczęścia, chociaż była to już nawpół ruina, stoczona przez grzyb i pleśń, nawiedzana przez szczyry i napoczęta zębem czasu. Dziś nawet, po tylu poprawkach i koniecznej restauracji, nie zatracił on jeszcze swego charakteru i trwa, jak przeżytek z dawnych lat, które wspominam z takim rozrzewaniem. Urodziłem się tam, spędziłem w nim najszczęśliwsze chwile i pragnę w nim umrzeć, kiedy przyjdzie pora...

— Życie zrobiło mnie oschłym i nieufnym, ustawiczna walka o byt oraz pewne zawody — nie ożeniłem się przez pamięć na kobietę, którą kochałem i straciłem — sprawiły, że uchodzę za człowieka szorstkiego i zgrzyźliwego, ale ilekroć przypominę sobie chwile dzieciństwa, spędzone w dworku rodzinnym, ogarnia mnie głębokie wzruszenie. Żał mi tych lat, kiedy rządziłem się tylko sercem i kiedy wierzyłem, że świat jest dobry, piękny i szlachetny.

— Przed dworem rozciągał się ogród owocowy, a w tyle pod wielkimi lipami stała stodoła i drewnitnia. Na skraju ogrodu znajdowały się zwaliska starego spichrza, w którym bawiłem się często w „chowanego“ z wiejskimi chłopakami. W pobliżu, za sadem, płynął strumyk, zasilający sadzawkę z rybami. Na całej tej przestrzeni znalazłem każdy kamień, każde drzewo, każdy najdrobniejszy szczegół. Strychy i piwnice, skrytki i komory budynków gospodarskich stały przedemną otworem. A jednak dopiero w szóstym roku życia stałem się panem największej tajemnicy starego domostwa.

— Czytałem później niejednokrotnie, że dawne zamki i dwory mają swe duchy opiekuńcze... koboldy. Ale w dzieciństwie nie karmiono mnie podobnymi bajeczkami. To też pierwsze moje spotkanie z takim... ko-

boldem — sędzę, że użyłem odpowiedniego określenia — było niespodzianką.

— Spotkanie? — zapytałem.

— Tak jest — rzekł. — Spotkanie... I pierwsza rozmowa.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Może wydaje ci się to fantazją — rzekł, podejmując wątek opowiadania — ale dwór nasz miał, a raczej ma, swego ducha opiekuńczego... ujrzałem go po raz pierwszy wieczorem i sceny tej nigdy nie zapomnę.

— Siedziałem w pokoju sypialnym, czekając na bonę, która zazwyczaj układała mnie do snu. Dzwie od sieni były uchylone i światło lampy, palącej się na stole, przenikało w mrok korytarza, który dzielił sypialnię od kuchni. W pewnej chwili usłyszałem jakiś szmer i spojrzawszy ku dźwięm, zobaczyłem na progu dziwną postać. Był to maleńki człowieczek w śmiesznym, staroświeckim stroju, w długiej kapocie i szarawarach, z charakterystyczną czerwoną czapczką w kształcie spłaszczonej głowy cukru. Miał długą siwą brodę i sumiaste wąsy. Podszedł bliżej, kładąc palec na ustach, jakby dawał mi do zrozumienia, że muszę zachować milczenie. Nie przeraziłem się, gdyż jego dobroduszną twarz i zachęcający uśmiech nie mogły budzić niepokoju. Zachowywał się, jak u siebie w domu i rzeczywiście... był u siebie. Z rozmowy, kóra zawiązała się między nami, dowiedziałem się wielu rzeczy, które mnie jednak nie zdziwiły i które przyjąłem jako coś zupełnie naturalnego. Uważał mnie za przyszłego dziedzica domostwa i chciał prosić o opiekę nad nim w przyszłości. Był już, jak twierdził, stary i znużony życiem... Kochał jednak te ściany, z którymi wiązały go liczne wspomnienia i zależało mu na tem, abym i ja odniósł się do nich z miłością. Mówił o moich dziadach i pradziadach, o ich smutkach i radościach, o walce, jaką stoczyli, aby utrzymać stary dwór w posiadaniu... Mówił mi o nieboszczce matce więcej, niż ktokolwiek w życiu... Od pierwszej chwili wydał mi się bardzo sympatyczny i kto wie, czy przywiązania do rodzinnego domu nie obudziły we mnie właśnie jego słowa. Widziałem. Byłem wówczas jeszcze dzieckiem i prośby jego poruszyły mnie do głębi... W pewnej chwili odezwał się w pobliżu głos jednego z domowników. Dziwaczny karzełek zdjął czapkę, gestem nakazał mi milczenie i skoczył w kąt, do kominka. Potrącone przez niego wiadro przewróciło się na podłogę... Zniknął.

— Nie wspominałem o tem spotkaniu nikomu... Nie wiem dlaczego, ale uważałbym to za nadużycie zaufania małego człowieczka. Odniósł się do mnie z taką serdecznością, że nie chciałem go zrażać...

— Widziałeś go później? — zapytałem z poważną miną.

— Dopiero po latach — rzekł mój opiekun. — Byłem wówczas w pierwszej klasie gimnazjalnej i przyjechałem na święta Bożego Narodzenia do rodzinnego domu. Tym razem zjawił się późną nocą, już po moim udaniu się na spoczynek.

— Ocknąłem się nagle i w świetle księżyca, który zaglądał przez okno, ujrzałem nawprost mego łóżka znajomą postać kobolda. Przywitał mnie uśmiechem. Zjawienie się jego sprawiło mi — nie wiem czemu — wielką radość, a i on nie krył swego zadowolenia. I znów zaczęliśmy rozmawiać. Pamiętam do dzisiaj dnia jego słowa, chociaż już wiele lat minęło od tego spotkania. Mówił, że nadchodzi czas, kiedy przestanę być dzieckiem i kiedy nie będzie mnie mógł odwiedzać. Ludzie dojrzała analizują każdy wypadek, jak twierdził. Nie wierzą w cuda, zaprzeczają możliwość rzeczy, które przechodzą ich pojęcie. I ja będę takim... Przyjaźń naszą uważa on jednak za świętą i nie chce narażać jej na spaczenie... Nie chce, abym widział w nim coś innego, jak opiekuńczego ducha mego rodzinnego domu. Zobaczymy się jeszcze, to pewne. Ale wtedy be-

de już miał za sobą lata buntu przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, lata klęsk i zawodów, w których sceptycyzm, nieufność i samolubstwo kierować będą nieraz moimi czynami. Albowiem zawsze przychodzi czas, kiedy człowiek zaczyna wnikać w siebie, kiedy budzi się w nim znowu dziecięca wiara i kiedy chce znów kierować się raczej sercem, niż rozumem...

— Nie chodzi mi jednak o wytłumaczenie zmiany usposobienia, jaka dokonuje się w wieku podeszłym. Mam wrażenie, że uwagi... kobolda odnosiły się do czegoś innego. Ja dziś wiem, że miał słusność. Wiem, gdyż przyszły długie lata, w których nie mogło mi się w głowie pomieścić, że złudzenie... dziwną jakąś wizję... wziąłem za rzeczywistość... że mogłem, chociaż przez chwilę, wierzyć w istnienie na ziemi... karzełków z bajki.

— A może była to jednak naprawdę halucynacja? — rzekłem.

Potrząsnął swą siwą czupryną i rzekł z uśmiechem: — Takie było moje zdanie... Kobold, jak wspominałem, liczył się z tem w każdym razie i to drugie nasze widzenie się było zarazem pożegnaniem na długi okres czasu. Dlatego podszedł do mnie i uściśnął mnie silnie za rękę. — Dowidzenia! Chłopcze! — rzekł. — Zobaczymy się jeszcze! — Jego czerwoną czapczką mignęła przed moimi oczyma, kiedy zniknął pod łóżkiem...

— Widziałeś go jeszcze... potem? — zapytałem.

Wpatrywał się przez chwilę w końce butów. — Stało się, jak przepowiedział — rzekł. — Wyrosłem na młodzieńca, potem na mężczyznę... Zapomniałem chwilowo o naukach młodości, a do moich dawnych wierzeń i zapatrywań odnosiłem się z lekceważeniem. Duchy opiekuńcze! Któżby w to wierzył!?

— Lata minęły — ciągnął dalej swą opowieść. — Dziesiątki lat. Zaglądałem rzadko do starego dworu, w którym gospodarzyła moja daleka krewna. Wśród ciągłej walki o byt, wśród ciągłych zmagań się z losem, krzywa mego żywota — było to ulubione wyrażenie mego opiekuna — osłabła swoje najwyższe wznesienie. Przebyłem jej szczyt...

Westchnął, ale jakby wstydząc się chwilowego wzruszenia, mówił teraz z ożywieniem: — Wspominałem ci niejednokrotnie, mój drogi, że każde wrażenie i każda przygoda przeżywamy w życiu dwa razy. Raz w młodości, drugi raz w wieku podeszłym. To też, kiedy znowu ujrzałem mego kobolda, był to dla mnie niezbitny dowód, że zdążam ku kresowi żywota... ku tej nicości, która oznacza połączenie się krzywej naszego istnienia z poziomem.

— Było to przed laty... Po dłuższej nieobecności zawiąłem znowu do rodzinnego domu i spędziłem w nim kilka dni. Stare drzewa, gaje róż, gąszcze dzikiego winogrodu, ściany chylące się do upadku i podpierane z roku na rok, ścieżki, które mi stapałem, strumyk i sad — wszystko to witalo mnie znowu. A ja czułem się, jak syn marnotrawny, który wraca z dłuższej wędrówki na łono rodziny. Fala nagłego rozrzewienia objęła mnie. Zrozumiałem, że jedyne szczęsne chwile w życiu spędziłem tylko tutaj i że dziś po tylu rozczarowaniach dałbym wiele, aby wrócił się znów błogosławiony okres dzieciństwa. I wierzyś, mój drogi... Rozplakałem się raz pierwszy od lat pięćdziesięciu...

— W noc tę nie mogłem zasnąć bardzo długo... Tyle myśli cisnęło mi się do głowy! Obrazy przeszłości powstawały i znikły przed memi oczyma, a zmurszałe ściany domostwa zdawały się witać mnie tajemniczymi szmerami.

— Nagle mignęła przede mną czerwoną czapczką kobolda, który wychylił się z pod łóżka. Uściśnął mi rękę z uśmiechem. Przywitaliśmy się, jak dawni przyjaciele. Nigdybym nie przypuścił, że spotkanie to wywrze na mnie tak wielki wpływ. Uczułem się znowu sobą. Tak, mój kochany... Zrozumiałem, że znowu godny jestem jego przyjaźni, gdyż

przestałem być zwolennikiem życiowych „nowinek”. Bunt przeciw obowiązującym na ziemi odwiecznym prawom miałem już poza sobą. Wzywał mnie głos ziemi.

— Innymi słowy, przyszedłeś do przekonania — rzekłem — że znajdujesz się już na linii pochyłej, prowadzącej do schyłku żywota. Na ramieniu zstępującej krzywej, o której mi tyle razy wspominałeś.

— Zrozumiałem — rzekł z naciskiem — że zbliża się kres mego żywota i że powinienem stać się godnym zaufania... kobolda. Tak, rozmowa z nim miała dla mnie decydujące znaczenie. Powrót do tradycji wydał mi się jedynym honorowym zakończeniem życiowej kariery po tyloletnim uganianiu się za iluzjami.

— Nie wiem, jak długo rozmawiałem z karzełkiem i nie wiem, jak do tego przyszło, że zbudziłem się dopiero rano. Widocznie zasnąłem nagle, lub straciłem przytomność. Dopiero na drugi dzień, rozpamiętując to zdarzenie i zastanawiając się nad szczegółami mego spotkania się z tym... tworem, zdałem sobie sprawę... że między wizytą ostatnią i wizytą z przed lat opiekuńczego mego ducha zachodzi ludzkie podobieństwo. Tylko, że poszczególne stany tego spotkania następowały po sobie w odwrotnym porządku...

— Uważasz to za potwierdzenie swej hipotezy o równoległości wrażeń przeżytych za młodu i w wieku podeszłym — rzekłem. — Ale w takim razie musiałbyś zobaczyć kobolda jeszcze raz w życiu.

— Widziałem go — rzekł z naciskiem. — Zesłałem roku. I to nasze spotkanie — sędzę, że ostatnie — uprawnia mnie do wyprowadzenia pewnych wniosków na przyszłość.

— Było to wieczorem. Wróciłem z przechadzki po ogrodzie i miałem zamiar udać się na spoczynek, kiedy nagle uwagę moją zwrócił jakiś hałas. To przewróciło się wiadro z węglami... Kobold potrącił je, wyskakując z kominka. Przyłożył palec do ust, nakazując mi milczenie i dopiero, kiedy przebrzmiały w oddali kroki mojej służącej, którą przyzywał do kuchni jakiś głos, podszedł do mego fotelu i włożył na głowę czapczkę, którą trzymał w lewej ręce. Nie chcę zanudzać cię opisywaniem naszej rozmowy. Dziekował mi za to, że dochowałem przyrzeczenia, danego przed laty i że nie zapominałem o domu rodzinnym... że wstąpiłem w ślady ojców i dziadów, którzy starali się o zachowanie starego dworku. Niestety, zejść z tego świata bezpotomnie, a nowonabywca zburzy zapewne siedzibę karzelka i wypędzi go precz. Zdawało mi się, że w oczach małego człowieczka zabłyśły łzy, ale jego pogodny uśmiech dowodził, że nie chce okazywać słabości. A ja... ja byłem znowu, jak dziecko... szczęśliwe, pełne ufności, nie znające trosk. Słowa kobolda uspokoiły mnie pod wieloma względami. Prawdę mówiąc, zawdzięczam im tę pogodę ducha, jaką się cieszę od tego czasu. I kiedy odszedł, kładąc znów palec na ustach, jakby prosił o zachowanie tajemnicy, zapomniałem, że zjawienie się jego dowodzi zbliżającej się śmierci i bliskiego pożegnania się z tym światem... zapomniałem, że nie zobaczę go już nigdy... Serce me przepełniała radość... Byłem dumny z siebie... dumny z tego, że nie zawiódłem zaufania i że jak moi ojcowie pozostałem wierny ideałom młodości.

— Mówisz o śmierci — rzekłem, kiedy skończył opowiadanie. — Sędzę, że to przesada. Wyglądasz doskonale i cieszysz się dobrem zdrowiem. Nie chcę cię urazić, ale mam wrażenie, że ulegasz sugestji.

Spojrzał na mnie, jakby z politowaniem. — Nie lękam się śmierci i jestem na nią przygotowany — rzekł. — Bóg chciał, że dzięki tym czterem spotkaniom z opiekuńczym duchem naszego domostwa mogę oznaczyć dokładnie czas, kiedy umrę. Miałem sześć lat i trzy miesiące, kiedy ujrzałem ko-

Dokończenie na str. 31-ej

Dwadzieścia jeden petard, imitujących z wielkim hukiem dwadzieścia i jeden strzałów armatnich, obwieściło w ubiegłą niedzielę wybór i koronację króla cygańskiego. Mimo, że nie wstrząsnęła posadami starej Europy żadna nowa rewolucja (Hiszpania jest w tym wypadku poza nawiasem), ani nie zmieniły się jej karty polityczne, powstało na jej terenach nowe królestwo.

„Moim jest cały świat” — mówi z dumą cygan, włączając się od wieków z miejsca na miejsce, mając w nocy nad głową wyiskrzony gwiazdami firmament niebieskiego pałacu, a w dzień do wyboru wszystkie drogi i ścieżki, prowadzące przed siebie. Takie też to i to nowe królestwo cygańskie — królestwo bez ziemi.

Że cyganie są włóczęgami, nie wynika to bynajmniej z braku zamiłowania do własnego kąta. Chcieli go bowiem zdobyć, przywędrowawszy w XIV wieku z Małej Azji do Europy, a mając już wtedy w ręku swój fach, którym się trudnią do dziś dnia, kowalstwo i kollarstwo, pragnęli szczerze i uczciwie pracować. Ale cóż z tego, sko-

ro ich nigdzie nie chcieli przyjąć. I tak przedzanej z miejsca na miejsce, zmuszeni prowadzić koczowniczy żywot, już tak nawydwadzić koczowniczy żywot, już tak nawykli do ustawicznej wędrowności, że stała się ich drugą naturą, koniecznością i potrzebą życiową.

Tajemnica niegościnnego przyjęcia cyganów przez ludy europejskie tkwi w głównej mierze w ich pierwotnej nazwie, która się wywodzi od słowa „athinganoi”, co przetłumaczone na polskie znaczy „nie dotykaj mnie”. Była to nazwa sekty, do której należeli pierwsi cyganie, przybyli z Azji Mniejszej, jak twierdzą nie-

przechowuje w muzeach pod klaszem? I skąd taki biedny cygan, choćby i piastował godność cygańskiego senatora, może być posia-

Poniżej: Kontrkandydat nowoobranego króla, Rudolf Kwiek z rodziną (pierwsza od prawej: żona zabitego króla Matjasza, córka Rudolfa).



KRÓLESTWO BEZ ZIEMI

Janusz Kwiek, nowoobranany król cyganów.

WSZYSTKIE
ZDJĘCIA
FOT. „AS”



którzy etnografowie z Egiptu. Nie dotykaj mnie! Nie dziwnego, że takich „przyjemniaczków” nikt nie chciał przyjąć i użyczyć im na swej ziemi gościny. Z „athinganoi” zrobił się z czasem skrót „cygan”, choć jeszcze w wielu krajach używa się nazwy „acygan”.

Wreszcie po całym świecie cyganie, a jest ich jeśli im wierzyć można, ponoć sześć milionów, zapragnęli osiedlić się na jakimś choćby najskromniejszym skrawku ziemi, stworzyć własne, samodzielne państwo. Wybierają się do Mussoliniego z prośbą o pozwolenie osiedlenia się w Abisynji, marzy im się miejsce w Lidze Narodów, czterech ministrów w rządzie, minister spraw zagranicznych, wewnętrznych, szkolnictwa i kolonizacji, własne szkoły, warsztaty, banki, ubezpieczalnie...

A narazie jest dopiero król... Prawdziwy król w koronie i z berłem, wybrany przez przedstawicieli cyganów ze wszystkich krajów Europy. Koronacja odbyła się z wielką pompą z udziałem prawosławnych władz duchownych, na Stadjonie Wojska Polskiego w Warszawie. Ze tam tron był wypożyczony z rekwizytorni Wielkiej Opery, a płaszcz królewski nosił pod kołnierzem z królików, udających bez powodzenia rasowe gronostaje, numer porządkowy garderoby Teatru Narodowego, mój Boże! cóż w tem dziwnego? Czy świeżo upieczone państwo Cyganerja ma być odrazu Imperjum Brytyjskiem, gdzie i tak mimo wielowiekowej wprawy urządza się próbne koronacje, a karoce królewskie

daczem garnituru frakowego, cylindra i lakierków, stanowiących obowiązujący strój na tak niezwykle uroczystościach. Wietrzyła się zatem na panach senatorach, mających wybierać króla, garderoba z „wypożyczalni fraków i smokingów na bale i reduty”, a na głowach sterczały dumnie cylindry i szapokłaki z najrozmaitszych epok, o różnych kształtach.

Fotografowie mieli roboty po wyżej uszu, terkotały niezmordowane aparaty filmowe, mikrofon, słysząc po raz pierwszy w swem życiu nieznaną mu dźwięki mowy cygańskiej, transmijłował z wielkim zastrzeżeniem mowę tronową, którą wygłosił do swych wiernych ludów przez radjo król cyganów, Janusz I. z Milanówka.

Na prawo: Insygnja władzy królewskiej.



Poniżej: Janusz Kwiek w szatach koronacyjnych w otoczeniu elektorów.



A trybuny, wypełnione tysiącami widzów, szalały wprost z radości, patrząc na siedzącego z powagą na tronie króla, w koronie podobno ze szczerzego srebra i pozłacanej (czy aby tylko nie ma w tem jakiegoś cygaństwa?) oraz takież berłem w pracownej przy klepaniu mosiężnych rondli dłoni. Król po przyjęciu darów w postaci kwiatów i złotego zegarka na długim srebrnym łańcuchu, oraz po złożeniu wjernopoddańczego hołdu z przyklekaniem na jedno kolano od

swych senatorów, rozpoczął z miejsca urzędowanie. Dobral sobie dwór, mianując swym adjutantem Sergjusza Kwieka, a prezydentem Związku Cyganów Aleksandra Kwieka oraz jego zastępcę. Potem, jak przystało na postępowego władcę, udzielił swego pierwszego wywiadu mędzynarodowej prasie, rozdziałając w międzyczasie na prawo i lewo autografy, podpisując się skromnie jedynie swem nazwiskiem rodowem „Kwiek”. Królewska małżonka, młoda i piękna Róża

była jeszcze skromniejsza. Umieszczała zamiast podpisu trzy krzyżyki.

Na zakończenie uroczystości odbyły się popisy solistów i chórów cygańskich. Śpiewano „Oczy czornyje” i „Wołga, Wołga”, tańczono polkę cygańską i rosyjskiego kosałka.

Na zegarze historii cyganów wybiła wielka godzina. Czy tylko ten zegar nie został też wypożyczony z jakiejś rekwizytorni?

Z. Ord.

IEKAWE DROBIAZGI

Literatura, grafika i reklama.

Przed niedawnym czasem w Paryżu — sprzedana została na aukcji kolekcja reklamowych broszur wielkiego handlu win „Nicolas” — za sumę 1.500 franków. Kolekcja sprzedana została pewnemu bibliofilowi, który po zażartej walce zdobył wreszcie zbiorowe wydanie dla siebie.

Suma 1.500 franków jest wprost obrzymia, jeżeli się zważy, że uzyskano ją przy sprzedaży obiektu służącego reklamie i rozdawanego bezpłatnie, honorowanym klientom paryskiego składu win.

Cały wspomniany wyżej materiał reklamowy firmy „Nicolas” był swego czasu omawiany w europejskich i amerykańskich czasopiśmie graficznych przez krytyków, którzy wyrażali się o nim w superlatywach. Zresztą pierwszorzędne nazwiska artystów którzy opracowali stronę graficzną broszur i literatów, którzy napisali teksty, dawały gwarancję, że wydawnictwo to będzie miało powodzenie i stanie się poszukiwanym.

Od czasu wojny światowej reklama poczyniła olbrzymie postępy. Kiedy nie wystarczał już sam pomysł, reklama wzięła sobie do pomocy malarzy, których miejsce zajęli z czasem artyści graficy. Wkrótce też literaci zaczęli współ pracować na wielką skalę z reklamą. Dziś nikomu nie wydaje się dziwnym, że reklamowe teksty, reklamowe utwory muzyczne, a zwłaszcza plakaty — podpisywane są przez wybitnych artystów.

Początki reklamowych tekstów, napisanych przez literatów, sięgają odległych czasów. Balzac zamieszczał w prasie bardzo często komunikaty, reklamujące jego własne utwory, mniej więcej treść: „Jakiż pierwszorzędny talent narratorski! Co za werwa, co za dowcip! Jaka nieustępliwość i odwaga w piętnowaniu zgnilizny naszej cywilizacji! Czytajcie „Baśnie filozoficzne” Balzaca”...

Równie pilnie jak Balzac, reklamowali się W. Hugo, Stendhal i Dumas. Słynny zaś Mallarmé pierwszy przyjął zamówienie na inzerat, reklamujący firmę kolonialną.

Historja powstania słynnej powieści pani Beecher Stowe pt.: „Chata Wujka Toma” łączy się również z reklamą. Oto w okresie poprzedzającym wojnę secesyjną Amerykanie północni szukali sposobów zaszokowania Stanom południowym, znajdującym się w pełnym rozkwicie. Uznano jednomyślnie, że jedynym sposobem naprawdę skutecznym będzie pozbawienie Stanów południowych czarnych robotników, zatrudnionych na plantacjach. Aby jednak przeprowadzić zamierzony plan, trzeba było znieść prawo zatrudniania afrykańskich niewolników. Odwołano się do uczuć humanitarnych. W tym to czasie ukazała się wspomniana powieść pani Beecher Stowe.

Książka rozeszła się w milionach egzemplarzy po całym świecie i ukształtowała opinię w ten sposób, że nie podniósł się ani jeden głos w obronie południowych Stanów,

kiedy te stały w obliczu katastrofy wskutek odpływu rąk roboczych.

W jakiś czas potem powstała w Stanach Zjednoczonych firma pod nazwą „Publishers Booklet Advertising Service”. Firma w ten sposób reklamowała utwory literackie, że np. dołączała do spisu potraw w restauracjach pierwsze rozdziały powieści.

Gdy w miarę polepszenia się „gatunku” reklamy — rosła jej wartość, zaczęto zamawiać ją u grafików i literatów. Paul Valery naprzykład napisał całą broszurę pt. „Woda” poświęconą pewnemu gatunkowi wody mineralnej. Było to wprost arcydzieło, w którym dowcip, dobry smak i esprit francuskie były znakomicie reprezentowane.

Edmund Rostand — reklamował wierszem smak pewnego wina, a najpoczytniejsi pisarze francuscy, jak P. Morand, Colette, Dorgelès, Tristan Bernard, Marcel Prévost układają teksty reklamowe dla najróżniejszych fabryk.

W Polsce od długiego czasu opracowanie tekstów reklamowych i propagandowych powierza się także literatom.

Ułożenie dobrego tekstu, czy odpowiedniego hasła sprzedażnego dla reklamowanego towaru, nie należy do rzeczy łatwej. Podczas urzędzonego kiedyś we Francji konkursu na krótki tekst reklamowy dla pewnej firmy, okazało się, że najlepsze rozwiązanie trudnego zadania nadesłał nie literat, ani dziennikarz, ale... pewien szofer.

W pewnych bowiem wypadkach potrzebny jest pomysł, hasło dające się łatwo spoufalizować, a nie literackie opracowanie tematu, czy formy reklamy.

Jak długo żył człowiek przedhistoryczny?

Vallois, autor szeregu badań nad szkieletami człowieka kopalnego, doszedł na podstawie obserwacji szwów na czaszce do ciekawego wniosku co do długości życia człowieka przed wiekami.

Uczony określa wiek człowieka kopalnego na mniej więcej 50 lat. Człowiek kopalny bowiem umierał przed zaniknięciem szwów na czaszce, a więc w granicach do lat 50-ciu, to jest przy pierwszym osłabieniu fizycznych sił.

Kto wie, czy człowiek kopalny nie umierał przy „pomocy” swych współbraci, co przy znanych i zachowanych do dziś u plemion żyjących w trudnych i pierwotnych warunkach bytowania — sposobach pozbywania się niewygodnego i zniechęcającego członka plemienia — wydaje się być dość prawdopodobne. W każdym jednak razie możemy się cieszyć, że po wielu bezowocnych próbach średniowiecznych magów, udało się współczesnemu człowiekowi przedłużyć życie przynajmniej o lat kilkadziesiąt.

Środek przeciwko chorobie morskiej.

C. Lillington radzi jako skuteczny środek przeciwko chorobie morskiej — taniec. Jest rzeczą pewną że czynnik psychiczny odgrywa podczas choroby morskiej dużą rolę. Jed-

nocześnie zaś ruchy taneczne neutralizują w pewnym stopniu krytyczne kołysanie statku.

Osobom, które nie tańczą zaleca się specjalny sposób oddychania który polega na tem, że powietrze wdycha się ustami bardzo wolno, poczem następuje szybki wydech przez nos. Tego rodzaju sposób oddychania zapobiega częściowo i dość skutecznie nieskoordynowanym ruchom przepony brzusznej, które to ruchy są główną przyczyną choroby morskiej.

Między magią a medycyną.

Nieprawdopodobne recepty na jeszcze bardziej nieprawdopodobne leki znane nam są z zabytkowych dzieł lekarskich, które laik czyta tylko dlatego, by rozerwać się i uśmieć. Zdawaćby się mogło, że brednie, jakimi często na pozór wydają się wskazania lekarzy z przed wieków, miały miejsce tylko na terenie Europy. Tymczasem Wschód osławiony głęboką wiedzą i prastarym doświadczeniem, używa też lekarstw, których sposób przyrządzania i stosowania nasuwa silne analogie z gusłami naszych znachorów z zapadłych Kresów.

Tak np. Chińczycy stosują przeciwko grypie woreczek żółciowy węża. To niesamowite lekarstwo daje doskonałe rezultaty. Podobno płukanie gardła płynem, w którym znajduje się pył potłuczonych pereł ma pomagać skutecznie na anginę i leczyć nawet najcięższe schorzenia tego rodzaju. Ten sposób leczenia trudno jest wypróbować z powodu wysokiej ceny pereł, przyczem wydaje się on być mało popularnym nawet w Chinach, a to z tych samych przyczyn. W razie wypadku anginy raczej już należałoby polecać sproszkowany kieł antylopy, który ma działać równie skutecznie.

Szare jaszczurki mają działać na zewnętrzne zranienia i obrzęki. Lekarze jednak stosujący ten środek, gwarantują za skutek swego lekarstwa tylko w tym wypadku, gdy pacjent połknie jaszczurkę „na żywo”...

Innem polecaniem lekarstwem, tym razem na bezsenność — jest herbata, przyrządzona z pewnego gatunku czarnych chrząszczy. Herbata jest nieszkodliwa, a pacjent po napięciu się jej zasypia zdrowym, kojącym snem.

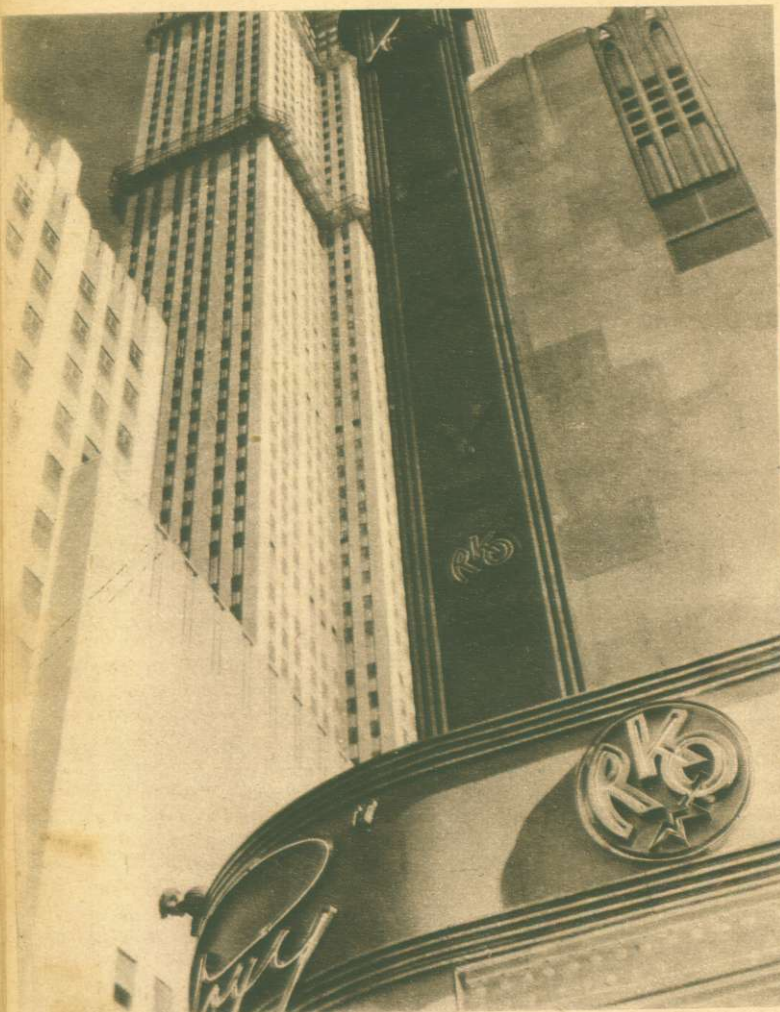
Od bardziej ironicznych komentarzy na temat lekarstw i wiedzy Wschodu trzeba się powstrzymać choćby z tego powodu, że niejednokrotnie w wypadkach, w których sławy naukowe Europy stawały bezradne przed zagadką — zdawaćby się mogło nie do rozwiązania, wiedza tajemniczego Wschodu ingerowała w ostatniej chwili z nieomylną pewnością i stu procentową skutecznością.

Tylko słynna powściągliwość ludzi wschodu i zazdrosne przestrzeganie tajemnicy sporządzania środków leczniczych — zdaje się tłumaczyć niestosowanie wielu znakomych azjatyckich specyfików leczniczych w Europie.



PREZENTUJ BROŃ! KRÓL JEDZIE!

Król Karol II w towarzystwie P. Prezydenta R. P. przejeżdża przez Bramę Florjańską w drodze powrotnej na dworzec krakowski



stromu i t. p. Ale właśnie w małym zakresie domowym dałoby się chyba niejedno zrobić przy pomocy środków, jakimi technika obecnie rozporządza.

Otóż „ex occidente lux”! Znowu jak w wielu innych wypadkach, gdy chodzi o zdobycze techniki, Ameryka pierwsza wytyczyła tu kierunek.

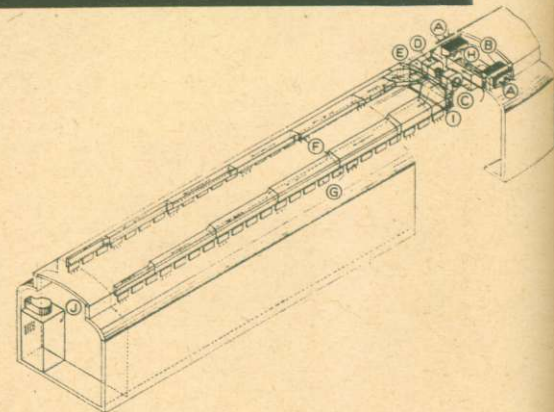
gotność powietrza. Podróżnicy, którzy przebywali w różnych okolicach o klimacie tropikalnym opowiadają, że nieraz doskonale znosili całodzienną temperaturę około 37 stopni ciepła i głównie dlatego, że powietrze było suche. Natomiast nie byli zdolni do żadnej pracy fizycznej w miejscach, o temperaturze nawet niższej, gdy powietrze było zanadto wilgotne. Jest to właściwie zupełnie jasne i zrozumiałe. Człowiek sam posiada w swoim organizmie już pewnego rodzaju aparaturę regulującą, przynajmniej w sposób bierny, jego własny indywidualny kli-

K L I M A T

do wyboru

Na lewo: Fragment jednego z największych drapaczy chmur w Nowym Jorku.

W Ameryce aparatura dla sztucznej klimatyzacji staje się coraz bardziej popularna. — Służy ona przeważnie zarówno w lecie jak i w zimie. I napewno rozpowszechni się ona wkrótce, tak jak rozpowszechnił się samochód, radio czy sztuczne lodownie.



Oto urządzenie pozwalające regulować klimat w pociągu. A — punkt wejściowy dla świeżego powietrza, B — filtr dla powietrza, C — aparat oziębiający i pozabawiający powietrze wilgoci. D wciskają powietrze do komory E, skąd przechodzi do kanalików F, następnie wychodzi w punkcie G i po okrążeniu zostaje wessane w H. Część zużyte powietrza wpływa w punkcie I.

Bieżące lato prawdopodobnie znowu należeć będzie do gorących i suchych. Zapelnia się znowu uzdrowiska i letniska, plaże i kąpieliska. — Ale przecież w gruncie rzeczy tylko bardzo mały odsetek ludności może spędzać czas w tych warunkach klimatycznych, które w danej porze roku są najbardziej dogodne: mimo wielkich upałów nie ustaje praca w fabrykach, w biurach, w warsztatach pracy umysłowej i fizycznej, no i... w gospodarstwach domowych. Ba, ale cóż zrobić! — mówi większość ludzi dotkniętych upałami — klimatu chyba nie zmienimy! Pozornie zdawałoby się, że ci sceptycy mają rację. Ale po zastanowieniu się widzimy, że tak źle znowu nie jest i że także i dziedzina klimatu nie jest niedostępna dla ingerencji człowieka. Coprawda w niejednym wypadku wpływ człowieka na klimat był raczej ujemny. Przez wycięcie lasów zmieniony został klimat na znacznej przestrzeni kuli ziemskiej na gorsze. Temu też zawdzięczamy niejedną powódź. Taksamo nieracjonalna gospodarka wodna dużo szkody narobiła. Ale z drugiej strony już Prometeusz, wydzierając ogień bogom, położył podstawy pod sztuczną klimatyzację ludzkich osiedli. Urządzenia do ogrzewania mieszkań i cały sposób budowania ich wytworzyły przecież specyficzny klimat naszych mieszkań. Klimat sztuczny, niepodobny do klimatu otaczającego nas zewsząd. Pamiętajmy, że gdy mowa o klimacie w tym artykule, to przede wszystkim mamy na myśli temperaturę powietrza, ciśnienie jego, wilgotność i obieg powietrza.

Zagadnienie ogrzewania mieszkań w zimie jest prawie, że rozwiązane. Zmiany wprowadzone ostatnio ułatwiają przeważnie tylko korzystanie z nowoczesnych urządzeń ogrzewczych.

Czyżby więc nie dało się czegoś uczynić w lecie, coby „regulowało” nam klimat? Nie mówimy oczywiście o takich fantastycznych projektach jak np. zmiany kierunku Golf-

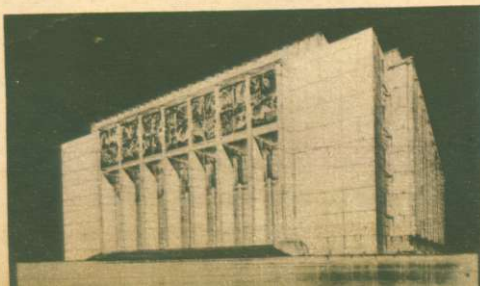
Urządzenie to ma na celu dostarczenie takiego powietrza, które najbardziej odpowiada jej pod względem zdrowotnym. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że człowiek w ciągu dnia wdechuje około 13 do 16 kg powietrza, a zatem kilkakrotnie więcej, aniżeli spożywa jadła i napojów, to zadziwi nas lekkomyślność i obojętność ludzi wobec jakości powietrza, wśród którego żyją i, któremu oddychają. Wprawdzie różnice indywidualne zawsze istnieją i istnieć będą także i w tej dziedzinie. Jeden woli temperaturę nieco wyższą, drugi czuje się fatalnie w powietrzu spokojnym, trzeci znowu nie znosi przewiewów i t. d. Ale droga obserwacji zdołano ustalić warunki, w których przeciętny człowiek najlepiej się czuje. Jeżeli chodzi o ciepło, to jest to temperatura od plus 18 do 25 stopni, przeważnie około 18,5 stopnia, przyczem powietrze musi być spokojne, przy lekkim zaś wietrzyku dogadza nam powietrze nieco cieplejsze.

A teraz drugi czynnik niemniej ważny, choć nie przez wszystkich dostrzegany i doceniany należycie: wilgotność powietrza. — Ilość pary wodnej zawartej w powietrzu odgrywa rolę niemniej ważną, jak sama temperatura powietrza. Tak jak w zimie czujemy się nieraz nieszczęśliwie w lokalach należycie ogrzewanych, ale o zbyt suchym powietrzu, tak znowu w lecie dolega nam, szczególnie w naszym klimacie, zbyt duża wil-

mat. To biologiczne urządzenie polega przede wszystkim na zdolności wydzielenia potu i przytem ochładzania się, gdy temperatura jest za wysoka. Ale ta autoregulacja jest niedostateczna w chwili, gdy w powietrzu jest za dużo wilgoci, bo wtedy pot tak szybko nie paruje. Przekonano się, że najlepiej czują się ludzie w wyżej podanych granicach temperatury 18 do 25 stopni, wówczas gdy względna wilgotność powietrza wynosi 40 do 70 proc., t. j. gdy w powietrzu niema więcej niż 70 proc. tej ilości pary wodnej, która w danej temperaturze może być zawarta w powietrzu.

Prócz temperatury i wilgotności powietrza ważnym czynnikiem zdrowotności jest czystość jego. Powietrze nie powinno zawierać w sobie składników stałych czyto w postaci kurzu lub pyłów, czy też w postaci drobnoustrojów. Ale to wszystko nie wystarczy jeszcze dla otrzymania powietrza zupełnie zdrowego. Decydują tu także elektryczne własności powietrza. Zawsze znajdują się w niem jakieś cząsteczki naładowane elektrycznie, które nazywamy „jonami”. „Jony” mogą być dodatnie i ujemne. Otóż przekonano się, że najlepiej dogadza naszemu zdrowiu gdy w powietrzu panuje przewaga „jonów” ujemnych nad dodatnimi i gdy cząsteczki powietrza naładowane elektrycznie są liczne i małe zamiast nielicznych a dużych.

Poniżej: Projekt gmachu Muzeum Narodowego w Krakowie.



Wszystkie wyżej wymienione najważniejsze czynniki, od których zależy klimat w naszym mieszkaniu, względnie w naszym otoczeniu dają się już obecnie znanymi środkami technicznymi regulować zupełnie dowolnie. Istnieje całe mnóstwo aparatów do wytwarzania zdrowego powietrza i do regulowania klimatu. Wymieńmy tu na pierwszym miejscu aparat wynaleziony przez P. Przedydenta R. P., prof. I. Mościckiego. Aparat ten służy do wytwarzania górskiego powietrza w mieszkaniu i jest przeznaczony przede wszystkim dla zakładów leczniczych, koszar, teatrów, kin, sal odczytowych i t. d. W aparacie tym powietrze ogrzewa się do odpowiedniej temperatury, zostaje nawilżone do pożądanego procentu wilgoci, naświetlone lampą kwarcową w celu wzbogaczenia powietrza w „jony”, no i oczywiście prze-filtrowane i oczyszczone z kurzu i pyłu.

W Ameryce przeprowadza się w chwili obecnej przede wszystkim „klimatyzację” warsztatów pracy, a więc fabryk i biur. — W niektórych fabrykach sztuczna klimatyzacja jest niezbędna wprost dla samego procesu fabrykacyjnego. Produkt wytwarzany w fabrykach nie klimatyzowanych, a więc o klimacie zmiennym, zależnym od zmian atmosfery, wypada niejednolicie i ma mniejszą wartość, aniżeli fabrykat, pochodzący z wytwórni, urządzonej nawskróś nowoczesnie. Odnosi się to n. p. do fabryk tekstylnych. Znanem przecież jest twierdzenie, że

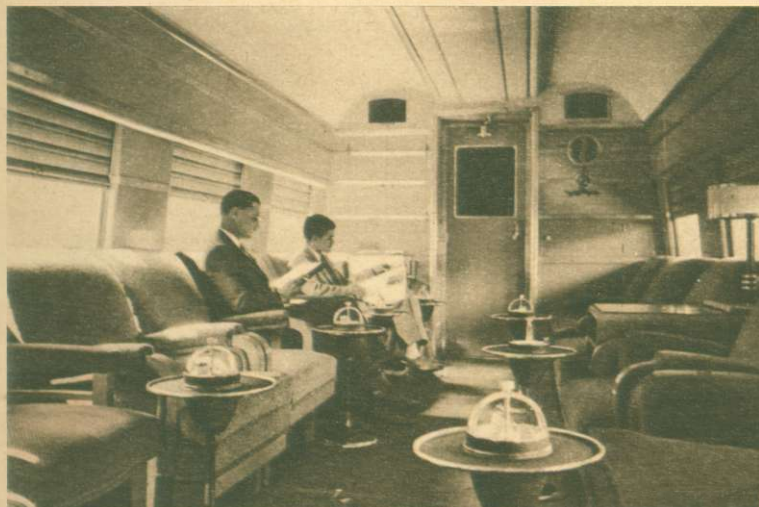


każdego pokoju osobno, tak, jak się to robi z centralnym ogrzewaniem. Stworzona sztucznie temperatura i wilgotność utrzymuje się automatycznie w tej samej wysokości. Powietrze rozczołdzi się w pokoju z otworów tak rozmieszczonych i z taką nieznaną szybkością, że nie odczuwa się zupełnie jakiegoś przeciągu lub wiru powietrznego. Zużyte powietrze uchodzi przez otwór znajdujący się ponad drzwiami wejściowymi (słusznie w tym wypadku zwany „lućkiem”) na korytarz. Stamtąd część powietrza dostaje się na zewnątrz, a część zostaje zpowrotem wessana do centrali, gdzie wraz z dodatkiem świeżym powietrzem ulega przede wszystkim oczyszczeniu i zdezynfekowaniu, w zimie nawilżeniu, a w lecie odwilżeniu a wreszcie i ochłodzeniu. Powietrze ochłodzone krąży w wyżej wspomnianych kanałach uchodząc w górę. W kanałach znajdują się rurociągi z zimną wodą dla utrzymania niskiej temperatury powietrza. O wielkości tego urządzenia można mieć wyobrażenie z tego, że maszyny chłodzące znajdujące się w centrali drapacza chmur są tak wielkie, że mogłyby wytworzyć dziennie 80.000 kg lodu. Tak więc w każdym pokoju powietrze ma właściwie wyższe ciśnienie aniżeli na zewnątrz, dzięki czemu do pokoju nie dostaje się powietrze z ulicy, nieczyste i nieklimatyzowane, tylko ra-

czej przenika z pokoju nazewnątrz. Można sobie wyobrazić, jaką rozkoszą jest przebywanie w takich mieszkaniach w czasie wielkich upałów.

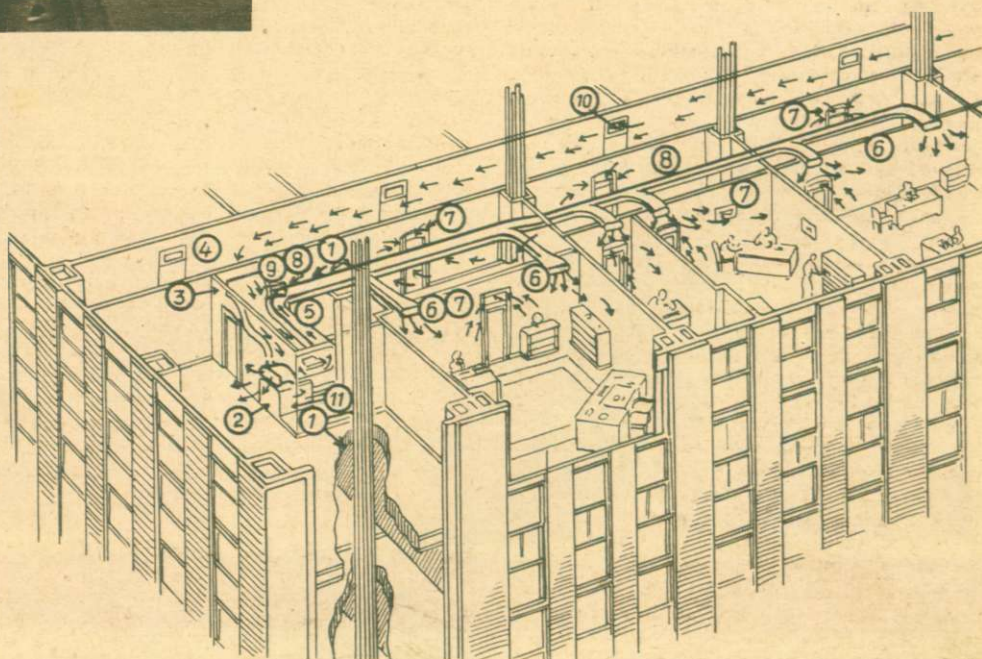
Ale nie tylko mieszkańcy takiego drapacza chmur mogą znaleźć się w tym szczęśliwym położeniu: urządzenia do klimatyzacji posiada bardzo wiele domów małych. Co więcej, od kilku lat amerykańskie wagony kolejowe są zaopatrzone w urządzenia klimatyzacyjne. Tak jak u nas — gdzie każdy wagon jest właściwie dla siebie elektrownią i posiada dynamo do wytwarzania prądu elektrycznego dla oświetlenia, tak samo w nowoczesnych wagonach amerykańskich, obracające się koła wozu uruchamiają całe urządzenie do klimatyzacji a więc dynamo o mocy 7.5 KW. Generator ten zaopatruje w prąd urządzenie chłodnicze i ładuje baterję akumulatorów, tak, że nawet w czasie postoju na stacjach urządzenie chłodnicze funkcjonuje dzięki prądowi z baterji. Powietrze wessane przechodzi najpierw przez filtr, poczem zostaje ochłodzone w chłodni, uruchamianej elektrycznie i odwilżane. Wentylatory włączają powietrze do wagonu, a zużyte powietrze uchodzi częściowo nazewnątrz, a częściowo zpowrotem do aparatury. Okna wagonu są oczywiście w tym wypadku zamknięte. Pasażerowie w takim pociągu mają stale świeże powietrze, wolne od kurzu, a dzięki zamknięciu okien nie dochodzi hałas od zewnątrz, ani też niema przeciągu. Mimo przejazdu przez okolicy, których temperatura wynosi 40 stopni C, w wagonie panuje temperatura około 20 st. Takich wagonów jest obecnie w ruchu 6000. Oczywiście, że także i samochody i samoloty mogły być klimatyzowane, chociaż w tym wypadku trudności są dużo większe. Jakie znaczenie ma klimatyzacja dla szpitali, a zwłaszcza dla sal operacyjnych, jest chyba zrozumiałe. Miejmy nadzieję, że wkrótce także i do nas zawita to nowe dobrodziejstwo techniki, dzięki któremu praca w miesiącach upalnych nie będzie tak uciążliwa, jak obecnie. Warto zaznaczyć, że powstający obecnie w Krakowie, dzięki ofiarności całego społeczeństwa gmach Muzeum Narodowego, zostanie również zaopatrzony w nowoczesne urządzenia do klimatyzacji.

Inż. J. A.



Oto wnętrze amerykańskiego pociągu, posiadającego odpowiednią aparaturę, stwarzającą dowolny klimat w przedziałach.

dobra jakość angielskich materiałów wełnianych zależy w znacznej mierze też od specyficznego klimatu angielskiego, t. j. od tamtejszego powietrza nasyconego przeważnie wilgocią. Taksamo w fabrykach tytoniu, czekolady i cukierków, w przemyśle papierniczym i t. d. potrzebne są szczególne warunki klimatyczne dla wytworzenia produktu pełnowartościowego. W fabrykach tych stosuje się przeto już oddawna, i to także w Europie odpowiednie urządzenia do klimatyzacji. Prócz tego pojawiły się już w Ameryce i są coraz szerzej stosowane aparaty klimatyzacyjne dla domów mieszkalnych. Tak n. p. drapacz chmur „International” w dzielnicy Rockefellera, w Nowym Jorku, liczący 38 pięter, posiada dla każdego mieszkania, ba, nawet dla każdego lokalu urządzenie do klimatyzacji, podobnie jak w każdym lokalu znajdują się radiatory dla centralnego ogrzewania. Każdy pokój posiada połączenie z systemem kanałów powietrznych, dostarczających powietrza ochłodzonego i filtrowanego z centrali, znajdującej się w tym samym gmachu. Temperaturę powietrza i jego wilgoć można wyregulować dla



Urządzenie klimatyczne w „Rockefeller Center” w Nowym Jorku. 1. Przewody wodne, 2. urządzenie, które w punkcie 3 wysysa powietrze z wewnętrznych korytarzy, a następnie oczyszczone rozprowadza kanałami (5) po poszczególnych pokojach (6). Urządzenie 7 wypuszcza powietrze na zewnątrz, przyczem część jego dostaje się znów do aparatu oczyszczającego (9), reszta odpływa na zewnątrz (10).

P

omimo olbrzymich postępów jakie ludzkość poczyniła w odkryciach nowych lądów i zbadaniu różnych tajemnic dalekich krain, jeszcze dziś staje człowiek bezradny wobec natury, cniąc żliwiającej poznanie nielicznych wprawdzie części kuli ziemskiej. Takim mało zbadanym zakątkiem świata jest olbrzymie pasmo górskie Himalaje. I nie w tym dziwnego, skoro weźmiemy pod uwagę jego rozległość, wysokość i panujące

tam warunki klimatyczne. Zdobyć przez podróżników tych na 6.000 metrów wznoszących się gór, na których szczytach leży wieczny śnieg, a potężne wichry szaleją przez cały niemal rok, nie jest bagatelą i nawet współczesny człowiek łączy pojęcie tych gigantycznych gór z pojęciem śmierci. Olbrzymie lasy otuliły góry w niższych partjach szczelną zasłoną: dęby, klony, a dalej rododendrony, które pną się po skalistych zboczach górskich. Wkońcu dochodzi się do kresu życia: nie spotyka się ani człowieka, ani też zwierzęcia, gdyż natura jest tu silniejsza od wszelkiej ludzkiej woli i instynktu życiowego. Sama nazwa Himalajów, wywodząca się z sanskrytu, określa „śnieżne mieszkanie”.

Mieszkańcy okolicy podhimalajskich odczuwają dziwną trwogę przed tą niegościnną krainą i tylko zmuszeni przez ekspedycje naukowe lub też myśliwskie, udają się w wysokie góry, aby brać udział w łowach na olbrzymiego niedźwiedzia, jako naganiacze. Polowania takie urządzają się na wysokości 2.000 metrów, przycem jednak kilka dni myśliwi pną się po skałach, pędząc przed siebie zwierzyne. Polowanie rozpoczyna się od poruszenia stad gazeli i lisów, które w popłochu uciekają. W całym królestwie zwierząt zaczyna panować niepokój, który dochodzi aż do króla tych okolic — niedźwiedzia. Łowcy zrzucają olbrzymie kamienie, które spadają do barłogów niedźwiedzi, wypłaszając z nich „lokatorów”. Niedźwiedź nie znosi hałasu i ceni sobie swój spokój, to też wnet zaczyna się jego wędrówka w górę. Dziwną jest rzeczą, że niedźwiedź, uciekając, nigdy nie idzie w dół, tylko zawsze szuka schronienia w wyższych rejonach, spinając się nieraz do tych części Himalajów, gdzie panuje wieczna zima. Jest w tym zachowaniu zwierzęcia jakiś dziwny paradoks: chroniąc swe życie, idzie on tam, gdzie panuje wieczna śmierć! Pogoń za niedźwiedziem nie jest rzeczą łatwą, gdyż im wyżej idzie, tembardziej ziemia staje się jego sojusznikiem, obsuwa się, staje się ślizga, a flora w postaci mechów utrudnia pogoń. Nadchodzi chwila, w której człowiek staje oko w oko z niedźwiedziem: jedna minuta nieuwagi, jedno potknięcie się, a myśliwy stać się może ofiarą... swojej ofiary. Pada strzał, godzący niedźwiedzia w paszczę. Z roztrzaskanymi szczękami, brocząc krwią, niedźwiedź z dziwną zwinnością ucieka przed swoim prześladowcą. Potężne siły vitalne, mieszczone się w jego olbrzymim ciele, pozwalają mu jeszcze

Obok: Po trudach uciążliwego polowania nareszcie pierwsza zdobycz...



POLOWANIE NA NIEDZ

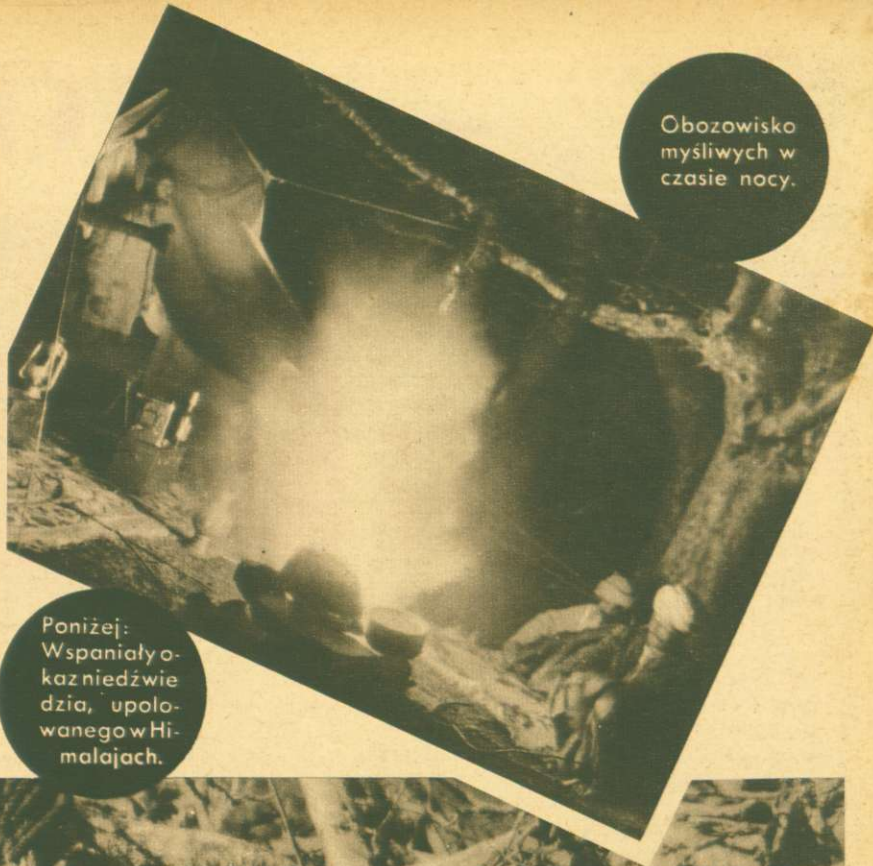


Od lewej: Obóz na wysokości 2000 m ponad poziomem morza, z którego wyruszy wyprawa w góry. — Okaz, schwytany żywcem, przy transportowaniu upolowaną zwierzyne na barkach uciążliwym szlakiem górskim, który ciągnie się przez dziesiątki kilometrów.

znieść kilka śmiertelnych strzałów, które ugodziły go, rozszarpując ciało w krwawe strzępy. Wkońcu dobija go ostatnia kula, przeszywająca mu serce. Tragedia mieszkańca Himalajów dobiegła do końca, człowiek pozostał zwycięzcą i wlecz swoją zdobycz w stronę doliny.

Ale nie zawsze polowanie kończy się zabiciem niedźwiedzia, krajowcy nieraz starają się dostać go żywym w swoje ręce. W takich wypadkach stosują

zupełnie odmienną taktykę, używając specjalnych forteli. Niedźwiedź, znany łakomczuch, urządza sobie nieraz wypoczynkowy „weekend” i wtedy schodzi w doliny, by pokrzepić się leśnym miodem. Wiedzą o tym myśliwi i podcinając drzewa, na których szukać będzie niedźwiedź słodczy, umieszczają w pobliżu ich duże siatki, mające się stać zasadzką dla niedźwiedzia.



Obozowisko
myśliwych w
czasie nocy.

Poniżej:
Wspaniało-
kaz niedźwie-
dzia, upolo-
wanego w Hi-
malajach.

ŹWIEDZIE



Wzwiązali myśliwi łapami do konaru drzewa. — Nierzaz trzeba
Wszystkie zdjęcia C. Anders — Paryż.

Oczywiście, że podczas uczty niedźwiedź nie zwraca uwagi na nie-
bezpieczeństwo i runąwszy z drzewem w siatkę, staje się łupem
ludzi. Następnym etapem jego losów to — ogród zoologiczny
lub cyrk, w których budzi u widzów dreszczyk wzruszenia, ale
dykt już nie bierze go na serjo. Spryt i fortele ludzkie okazały
się bardziej skutecznymi, niż jego olbrzymia siła... g.



NA „KRAŃCACH ŚWIATA”

Rozkazem swoim, wydanym w Ziembnie, konie gwardji, konie osobistego taboru, zaprzęgi marszałków rozkazał cesarz oddać artylerji, księciu d'Elchingen, nakazując bezwzględnie, by co do jednej armaty wyprowadził z borysowskich bagien.

Żadna z „córek cesarza” — armat połowych i ciężkich dział opatrzonych na lawetach złotą cyfrą „N”, nie mogła się dostać w ręce Czaplica ni Wittgensteina. Sam zatrzymał sobie tylko cztery konie, które wprzęgnięto do purpurowej jego karety, zatrzymał sobie tylko siwego z czarną grzywą i ogonem jabłkowatego „Taurisa”, na którym cwałował tuż pęza karetą cesarską Dunin-Wasowicz. Wielki koniuszy cesarstwa, nieodstępny Duroc, sekretarz osobisty i kilku oficerów eskorty, jechało w chłopskich saniach owiniętych w kożuchy.

Przeglądając rozkazy i skrypty wielkiego Korsykanina można sobie z geograficzną dokładnością odtworzyć czarną drogę odwrotu, która przecież w tradycji ludu wileńskiego nazwana została „Czarnym Traktem”.

Drugiego grudnia 1812 roku rozkaz o stosowaniu sądów połowych wobec grabieżców i maruderów, nakazujący bezwzględne rozstrzelanie, podpisany został w Stajkach — Białym dworze, należącym po dziś dzień do Bohdanowiczów.

Cesarz pisał swym nieczytelnym charakterem na małym stoliku mahoniowym, który po dziś dzień zachował się w tym dworze, a potem nie pozwalając nawet zdjąć sobie butów, zdrzemnął się na jesionowej kanapie pół leżąc, gdyż kanapka twarda była i za mała nawet na krótkie nogi Napoleona. A potem już jechał wprost traktem brzożami sadzonym, wśród puszczy ziemi polskiej kresowej coraz to prędzej, coraz to prędzej, byle dotrzeć do Paryża.

I cały ten trakt i dwory te i ziemia ta zostały się takie, jak dawniej, ba, zostały się takie, jak za Batorowych czasów, bo jeszcze po traktach widnieją tam kamienne krzyże o kształtach krzyża Virtuti Militari z wrytymi insygnjami Króla Stefana jak gdyby żywe pamiątki pochodów jego Chorągwi, idą-



Charakterystyczny dla kresów drewniany kościółek w Batorynie.

cych na Wschód. Ziemia kresowa, ziemia wileńskiego pogranicza, tak bliska od głównych centr komunikacyjnych, a zarazem i tak daleka, to ziemia żywych kamieni, żywych cieniów przeszłości, których zetrzeć z jej powierzchni nie mogła nawet wojenna zawierucha.

Dwór Borowskich w Łukawcu trzysta siedemdziesiąt lat zgórą liczy. Jak na prywatną sadybę, która się po dziś dzień ostała, to przecież unikat, bo poza kilku zamczyskami, niema dworów tak starych, nawet w Królestwie Kongresowym, które przecież wojenna zawierucha mniej uszkodziła, a tutaj na tych ziemiach widmo wojny nie ograniczyło się do pożogi, ale ryła ziemię, lasy i bagna, czego pamiątki przecież po dziś dzień pozostały.

Dziwnym zbiegiem okoliczności najbardziej pamiętny pas ziemi historycznej stanowi dzisiaj pogranicze. Właściwie jednak granica znaczonego co pewien odstęp białymi słupami granicznymi i zasiekami drutowymi, przecina jakgdyby tę ziemię, dzieląc świat pogranicza, świat ziem rdzennie polskich na dwie połacie tak, że niejednokrotnie rozdział historii przerwany jest jak gdyby w połowie i dopowiadać sobie należy ciąg dalszy, ale już nie ze świadectw, które tam pozostały, ale z aktów i dokumentów historycznych. Gdy powrócono po pożogach wojennych do tych stron, poza domami i kościołami, nie pozostało tu nic, więc trzeba było brać się od nowa, do gruntownej restauracji, kraj powoli zaludniać się począł, a dzisiaj wielkie rany zadane wojną, zablizniły się tak, że niemal i śladu nie pozostało i okolica ponownie zakwitła dobrobytem. I tutaj może bardziej aniżeli na każdym innym odcinku ziem Rzeczypospolitej, uwytłaniać się zdaje wspaniałe dobrodziejstwo cywilizacyjne centrów i ośrodków polskości, które skoncentrowane po dworach, stanowią jak gdyby trwałe fundamenty kultury rzymskiej, na której każda praca polityczna i społeczna oprzeć się może. Ziemiaństwo kresowe tej najbardziej kresowej i rubieżowej połaci wileńskiego pogranicza, zdało egzamin dojrzałości w tej misji. Praca misyjna nie zasklepia się w błędnym kolisku korzystania z własnego dobrobytu i wynoszenia się pewną odrębną gatunkowością, ale przedewszystkiem idzie ku środowisku wsi z najracjonalniej pojętym argumentem niesienia dobrobytu materialnego. Jest to argument, który przemawia najskuteczniej. Porównanie przez samego włościanina

białoruskiego skrajnej nędzy kołchoznej, widzianej przez zasieki drutowe z dobrobytem własnym, i uprzemysłowieniem rolnem, idącym od dworu, który przecież poważnie zasiała wieś, samo zjednywa lud jaknajbardziej, a krzepnąca z każdym rokiem i tężejąca gospodarka agrarna jest najlepszym kontrargumentem wszystkich buńczucznych hasel, idących z tamtej strony na praktyczne poparcie których poza nędzą i niedolą kołchoznika niema innego dowodu.

Wielkim sznurem poza linią zasiek druczianych po naszej stronie ciągną się białe dwory polskie, wśród których gdzieś strzela drewnianą wieżycą linja strażnicy KOPU.

O działalności cywilizacyjnej i kulturalnej KOPU pisaćby należało całe rozdziały, a niechaj wzmianki w pismach codziennych, mówiące o bibliotekach wędrownych, o ekspedycjach sanitarnych, dożywianiu i cywilizowaniu zorientują ciekawych. Nie można też pominąć i znakomitej roli, jaką odgrywa tu kościół. Skromne niekiedy, modrzewiowe kościółki po grabieży wojennej ożyły dzisiaj i znów promieniają słowem Bożem, a doskonały dobór księży, jakgdyby misjonarzy, spełnia tu swą misję z należytem zrozumieniem ważnego posterunku.

Gdy się zwiedzało ten kraj przed kilku laty i gdy się odwiedza go dziś, widzi się nieustannie postęp, wzmagać się z każdym dniem wzrost dobrobytu i coraz to bardziej występujące skojarzenie tych ziem i ludzi z resztą Macierzy, na której przedmurzu stanęły te wsie, kościoły, strażnice i dwory.

A tylko puszcze kresowe nie zmieniły się ani o jotę i dobrze się tak stało. Szpecąca zawsze las cywilizacja nie tknęła ich i tak jak za Batorowych czasów, za czasów Marsyljanki, czy pohuku dubeltówek powstańczych, szumią dziś pełne majestatu, bogate w rzedkiego zwierza dostojne swą dumą i pierwotnością. A tylko czasami, gdy się wspomni jakieś wielkie imię, zaszumią konarami stare dęby.

Bo pamiętają...

Feliks Dangel.



Wyjazd na bażanty.
Wszystkie zdjęcia F. Dangel.



Dwór w Stajkach Wl. Bohdanowiczów, gdzie kwaterował cesarz Napoleon.

Dom współczesny poczyna mieć swój styl, podobnie jak miał go w wielkich epokach historycznych.

Architektura, wnętrze domu, ogród, powiązane są ściśle z sobą logiką funkcjonalizmu i harmonijnym obmyśleniem przedmiotów użytkowych. Przemysł współczesny wytwarza coraz więcej przedmiotów o charakterze artystycznym. Zwłaszcza w zakresie oświetlenia posiadamy już wielki wybór lamp, zastosowanych do charakteru każdego mieszkalnego wnętrza.

Minęły czasy, dawnej, uniwersalnej naftowej lampy dziwacznej i zawsze

szklanych dzbanuszków powracają do współczesnego domu w nowej stylizacji. Niemalą rolę w projektowaniu lamp ogrodowych odgrywa różnorodność szkła opalizującego, mlecznego, z wtopioną siatką i. Zamiast daw-

LAMPY OGRODOWE

przyciężkiej od przebogatej a niepotrzebnej ornamentyki.

Światło zarówno dzienne, jak i sztuczne odgrywa decydującą rolę w współczesnym mieszkaniu.

Przemilem miejscem odpoczynku w porze letniej jest balkon, lub ogród. Oświetlenie tych miejsc powinno być przemyślane i dostosowane do charakteru nie tylko pod względem technicznym, ale i artystycznym.

Podajemy Czytelnikom naszym wzory różnorodnych lamp przenośnych, służących do oświetlenia zarówno ogrodów, jak i balkonów.

Widzimy, iż twórcy tych przedmiotów używają form prostych i niekosztownych materiałów. Świeczniki współczesne przypominają swym kształtem średniowieczne kaganki, kute z prętów żelaznych i blachy. Dawne formy

Na prawo: lampka, imitująca średniowieczny kaganek.

Zdjęcia Becker & Maass.

Poniżej: Lichtarz z kloszem z opalizującego szkła, podstawka kuta w żelazie, uchwyt klosza z polerowanej miedzi.



ściwszego oświetlenia, nie tylko gabinetów pracy, ale również balkonów i ogrodów.

Dobry smak i przemyślenie rozstrzygają najlepiej w sprawach urządzenia naszych mieszkań.

MDD.



Stojąca lampka — klosz z woskowanego papieru, umbra metalowa — całość osadzona na podstawie bambusowej.

nych pretensjonalnych kandelabrow, bambus lub kijek lakierowany, podtrzymuje kulę świetlną.

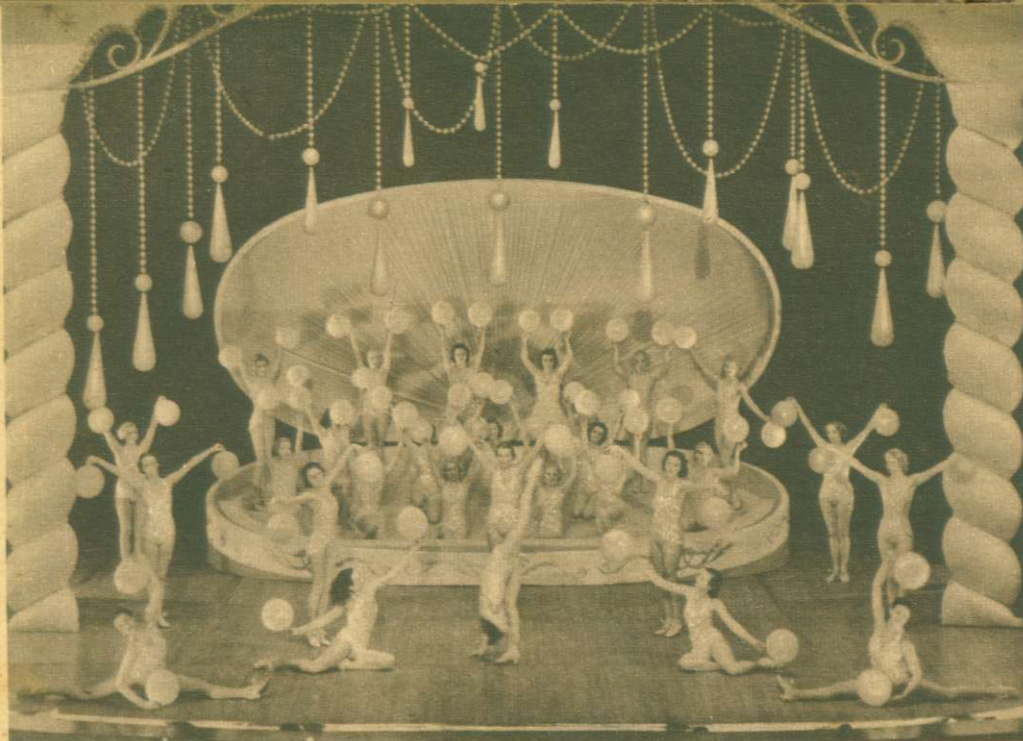
Jak widzimy z załączonych zdjęć, pomysłowość współczesnych artystów w kierunku stworzenia racjonalnej formy lamp ogrodowych jest bardzo wielka i oryginalna.

Prostota, celowość i wdzięk materiału, to zalety nowoczesnych przedmiotów użytkowych, nadających naszemu mieszkaniu własny miły charakter i bezpretensjonalny, dekoracyjny akcent.

Urządzając więc wnętrze mieszkania, nie zapominajmy o sposobach najwła-



Stojąca lampka — klosz z lanego wzorzystego szkła, umbra w kształcie grzyba z metalu, podstawka z drzewa lakierowanego.



Obraz „Perty” z rewji „Casino de Paris” w wykonaniu baletu Tacjanny Wysockiej.

Louis Lemarchand przyjmuje mnie w swej zacisznej willi, położonej w pobliżu Laszku Bulońskiego w Paryżu. Siwy pan o żywym, bystrem, inteligentnym spojrzeniu. Jego nazwisko jest mało znane. A jednak jest on twórcą w ciągu ostatnich lat kilkunastu licznych rewji music-hallowych. W samych „Folies-Bergères” kreował on z 20 rewji, z których każda nie schodziła z afisza w ciągu dwunastu, niekiedy osiemnastu miesięcy! Więcej jednak mówi się o nagiej tancerce, niż o twórcy rewji... Nazwisko Louis Lemarchanda jest jednak cenione i poważane na obu półkulach. Właśnie wrócił on z Nowego Jorku, dokąd udał się na zaproszenie Ameryki, celem stworzenia za oceanem rewji na wzór paryski.

— Nie sądziłem, że Amerykanie cenią rewję paryską, skoro music-halle paryskie wciąż wystawiają rewję „à la Broadway”, zresztą daleko słabsze od paryskich. Jakżeż tedy wyglądają prawdziwe rewje amerykańskie? — pytam.

— Jednym z takich teatrzyków to „French Casino”. Jest to ogromna, szalenie luksusowa restauracja, mieszcząca 1.400 osób. Tego się nie widzi w Europie. Są to teatrzyki, w których przedscenie w antraktach służy do tańca. O godzinie piątej Amerykanie kończą pracę, tu spędzają często wolne wieczory; wydają dużo, ma się wrażenie, że nie umieją oszczędzać. Ale co dziwi każdego z nas, Paryżan, to fakt, że w Nowym Jorku jest mało lokali nocnych, daleko mniej, niż w Paryżu. Nie widziałem ani jednego teatrzyku variété, a tylko jedną dewję à la paryski Ripp. „Burlesque” to coś zupełnie specjalnego. Są to teatrzyki na 300 do 1200 miejsc. Każde z tych przedstawień zmontowane jest według recepty następującej: jeden obraz z bogatą wystawą, jeden skecz zresztą wulgarny i niemily, jeden obraz o walorach... (nagości), a raczej... rozbierania się „artystki” na scenie, co robi wrażenie nieestetyczne. Spektakl taki trwa od dziesiątej rano do drugiej nad ranem!...

Pytam go z kolei o jego rewję wystawioną za oceanem:

— Wyreżyserowałem rewję „po parysku”. Kostjumy, dekoracje — są wyłącznie koncepcji francuskiej, trupa, jaką zawiozłem, składała się wyłącznie z Europejczyków i tancerek europejskich siedemnastu narodowości. Na 80 tancerek miałem tylko dwie Amerykanki! Tworzą one „genre sportif”, nie posiadają jednak wyrazu. U mnie zaś

ZZA KULIS MUSIC-HALLU



Portret Louis'a Lemarchand'a, z autografem twórcy music-hallu.

każda tancerka musi posiadać swój wyraz i to indywidualny. Nie znoszę „standartu” amerykańskiego, gdzie całą szesnastkę girlsów charakteryzuje się tak, że wyglądają jak siostry sjamskie, pozbawione wszelkich cech indywidualnych. Jak pan widzi w moich rewjach zachowuje się różne kolory włosów, różne wyrazy twarzy... Cóż panu jeszcze powiedzieć? Przyjęli Amerykanie rewję z zapalem, kurtyna unosiła się na premierze 15 razy...

— Pozwolę sobie wobec tego na inne pytanie, na które lepiej niż ktokolwiek może mi Pan odpowiedzieć. Idzie mi o ewolucję music-hallu paryskiego...

— Doskonale rozumiem co chce pan przez to powiedzieć! Istotnie! W latach 1927—30 music-hall osiągnął szczyt powodzenia. Nie można było się wznieść wyżej wobec wypełnienia niemal całkowicie programu na-

kreślonego. Przytem nastąpiły czasy kryzysowe. Rewja kosztowała kiedyś 2 miliony franków (przed dewaluacją), i dyrekcja miała pewność, że suma ta z szybkością się zamortyzuje. Dziś środki materialne są ograniczone. Następną przyczyną zastoju w rozwoju music-hallu to — brak artystek nowych. Dawniej było bardzo wiele różnych music-hallów w Paryżu, co pozwalało na wybieranie i formowanie wciąż nowych sił i ich lansowanie na pierwszych scenach. Obecnie zaś pozostały trzy „liczące się” music-halle w Paryżu i dwa na prowincji. Brak więc szkoły, więc niema nowych sił i dlatego wciąż wraca Mistinguett i Józefina Baker, albo są próby tworzenia rewji bez wielkich wedet, albo na wedetę bierze się — sportowca (Ladoumergue) szukając ciągłych nowości!

— Trzeba więc odnowić rodzaj music-hallu, na co pozwolą pieniądze; będzie trzeba obejść się bez wielkich talentów...

— Tak! Tembardziej, że pokazano sceny pełne tajemniczości i czaru i wraca się do rodzaju „café-concert” z przed lat. Inna trudność nowoczesna to — brak zamiłowania do zawodu i brak mechaników i służby zakulisowej! Dawniej była współpraca całego

zespołu. Dziś pracownicy-mechanicy i inni tylko czekają na koniec wieczoru. Podobnie jest i w Ameryce. To zainteresowanie pozostało u Niemców, u Włochów... Dziesięć lat temu i u nas były świetnie zgrane drużyny...

— Jak pan opracowuje rewję?

— Przygotowuję je bardzo szybko, ale dużo czasu zajmuje jej wykonanie, stworzenie i zachowanie rytmu. Bo trzeba o jednym pamiętać. Przedewszystkiem: RYTM!

— Czy rozwój środków technicznych nie stworzy nowych możliwości? Naprzykład paryski teatr Pigalle...

— Ten teatr, istotnie najnowocześniejszy, okazuje się w praktyce nieodpowiedni. Nasze tempo jest większe! I starymi środkami wydobytymy to tempo lepiej niż nowymi! — W „Folies Bergères” scena ma 7 metrów głębokości zaledwie, ale tam można dokonywać cudów! Music-hall musi mieć specjalną scenę. Opera w music-hallu nie udaje się, ani odwrotnie. Pyta pan o nowoczesność układów baletowych? Pozwolić każdej z girls na indywidualność ruchów? Były próby ale nie dały skutków, bo girlsy są przywykłe do tańców zespołowych. Chyba Polki czy Węgierki nadawałyby się do takich indywidualnych tańców. Jedną z dróg odnowienia music-hallu to skasowanie snobizmu tych, którzy unikają tego rodzaju przedstawień a wtedy będzie można skasować przesadnie akrobacje w music-hallu, podobające się dzisiejszej publiczności, o smaku wulgarniejszym... Co kraj to obyczaj: w Londynie do music-hallu uczęszcza publiczność bardzo elegancka, a w Paryżu przeważnie — cudzoziemcy!

Na tem kończy się mój wywiad z „asem” rewji music-hallowych Louis Lemarchand.

* * *

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że polski balet Wysockiej gości od kilku miesięcy na scenie największego paryskiego music-hallu „Casino de Paris”. Program występów polskich jest nadal bogaty. Wszystkie numery tego programu są świetne i zbierają huczne brawa, ale najbardziej chyba podoba się obraz, którego osnową jest Straussowski walc. Obraz trwa 20 minut, a gdyby go powtórzone, publiczność z równym zaciekawieniem śledziłaby go do końca.

Zygmunt Frenkel.



Z T E K I M U Z Y C Z N E J „A S A”

O B E R E K

ze suity orkiestralnej „Lalkonik”

Stanisław Mikuszewski (1937)



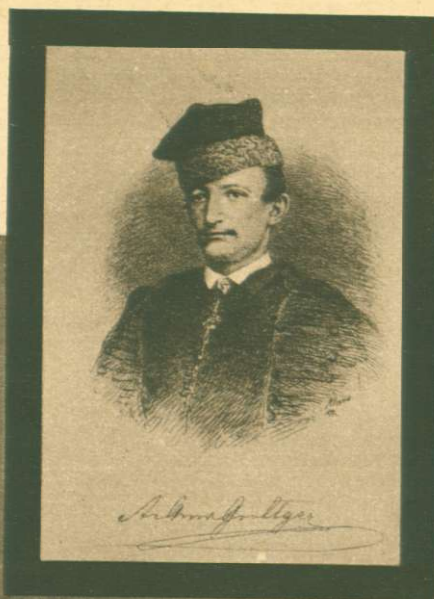
Vivo.
pp
cresc. f
p
ff
f
mf
p
ff

f
fine.
D.S. al fine, per trio.
Trio. Poco meno mosso.
mf
p
rit.
a tempo 1.^o
f
D.S. al fine con rapper.

W S Z Y S T K I E P R A W A Z A S T R Z E Ż O N E

A R T U R

WSPOMNIENIE



GROTZGER

F. M. A R E N

PRZEŁOŻYŁ
WITOLD RYBCZYŃSKI

Bo w świecie ducha —
niema pożegnania.

5-ty ODCINEK.

Nawet chciał mię rysować... a teraz, teraz stał się sławny, a moja matka tak mędrnie go odprawiała! Nie byłam wprawdzie tego pewna, ale z pewnością zakazała mi dom nasz odwiedzać. Z jakiej bowiem racji kazałaby pisać fałszywy list do mnie? Przecież bądź co bądź to nie było prawdą, że pojechał do Warszawy.

Serce mi biło, ręce drżały, policzki płonęły, ogień gorzał mi w oczach. Napróżno dziadkowie starali się mię zatrzymać. Mury dławiły mię, musiałam uciec precz... dokądkolwiek.

— Będzie deszcz — mówiła babka — weź przynajmniej parasol lub idź przez Favoritenstrasse; w najgorszym razie znajdziesz dorożkę.

Zaledwie skończyła, już byłam przy drzwiach i w bramie. To prawda, po co mam zawsze isć nudną Heugasse? Swoją drogą, chodziłam nią chętnie, a to właśnie z powodu jej monotoności, która nie przeszkadzała mi w rozmyślności, którą szłam całkiem mechanicznie, skupiona w sobie, niczego dookoła nie widząc, chociaż znałam każdy dom i każdą gałąź zwisającą z muru Schwarzenberga. Usłuchałam więc rady babki i skierowałam się na ulicę Theresianum, która wydała mi się bez końca, zanim dotarłam do Favoritenstrasse. Jakkolwiek niebo pokryło się ciężkimi chmurami, deszcz jeszcze nie padał.

Właśnie otwierała się przede mną, jako przedłużenie Theresianumgasse, inna ulica — o ile się nie mylę — Schaumburggasse. Stałam niezdecydowana, którą drogą mam pójść; w pomieszczeniu bowiem zapomniałam, a może wogóle nie wiedziałam, że Favoritenstrasse wychodzi na Hauptstrasse, a potem prowadzi do śródmieścia. Zdawało mi się, że właśnie Schaumburggasse wabi mię ku sobie; nie czułam wówczas jeszcze odrady do „Grundu“, nie znałam dwuznacznego charakteru tej dzielnicy, udalałam się więc w tym kierunku. Nie chciało mi się zresztą wracać do domu, a nadto ogarnęła mię chęć robienia odkryć.

Niebo widocznie nie sprzyjało memu przedsięwzięciu, gdyż zaledwie minęłam pierwsze domy, poczęło lać, jak z cebra. Moje szesnastoletnie nogi nie

wiele sobie z tego robiły i biegły lekko na palcach, podczas gdy głowę chronił parasol, pożyczony od babki. Ponieważ długa suknia mi zawadzała, uniosłam ją w pośpiechu, opanowana żądzą wyzwania pogody i zmagania się z nią, co sprawiło mi ulgę.

Ulica prowadziła koło pałacu arcyksięcia Rainera. To było pierwsze odkrycie. Podobał mi się w swym stylu renesansowym, w swym szlachetnym odosobnieniu od prozaicznych podmiejskich domów. Grupa wysokich drzew, piękne kwietniki... tak, to było prawdziwe wytebnienie, najmiłsze pozdrowienie wiosny, płynące ku mnie ożywczym technieniem. Gdy tak rozkoszowałam się tym widokiem, mimo woli nasonęło mi się pytanie, dokąd ja właściwie, idąc w tym kierunku, zajdę, i zadałam je pierwszemu spotkanemu przechodniowi.

— Gradaus na Mittersteg — brzmiała odpowiedź w podmiejskim dialekcie.

Mittersteg — Mittersteig — to jest przecież ulica, na której mieszka Grotzger. Najwyraźniej widziałam na kopcach: Mittersteig i — o ile się nie mylę — nr. 19. *) Wprawdzie nie byłam tego pewną, ale cóż to miało do rzeczy. Szłam dalej w kierunku „Mittersteig“. Trochę ścisnęło mi się serce, gdy doszedłszy do końca ulicy, nagle przeczytałam na nowym trzypiętrowym domu: Mittersteig nr. 19. To była zuchwałość z mojej strony przyjść właśnie aż tutaj. Nie śmiałam podnieść wzroku na kamienicę i zniżyłam parasol, jak tylko mogłam.

Ale ponieważ już się tu znalazłam, przystanąłam na środku jezdni, by rozzejrzeć się w jedną i drugą stronę i wbić sobie w pamięć obraz otoczenia. Tworzyły je stare przeważnie brzydkie jedno- i dwupiętrowe domy, nie wyglądające zbyt zachęcająco, jak gdyby nie należały do wielkiego miasta. lecz stały raczej na prowincji. przyczem trzypiętrowy dom wyglądał olbrzymio i obco.

Lecz nie pozwoliłam sobie na dłuższą obserwację. Osiągnęłam to, co zamierzałam: poznałam dokładnie dziel-

*) Według prof. Antoniewicza Grotzger mieszkał na Mittersteig nr. 412, prz. II.

nicę, w której mieszkał mój geniusz. Szybkiem krokiem popędziłam wzdłuż słabo ożywionej, jak gdyby zapomnianej przez pojazdy, ulicy.

Już dochodziłam do rogu, gdy wtem stanęłam, jak wryta. Przeciwległą stroną ulicy szedł ten, z powodu którego całą tę ekskursję podjęłam. Szedł lekkim krokiem, z pochyłoną w zamyśleniu głową, w polskiej czapce, trzymając w prawej ręce zwój papieru, którym uderzał o uda, jak ktoś, kto intensywnie myśląc, ręką bezwiednie porusza. Wiernego charta przy nim nie było. Czy był tak zamyślony, iż nie zauważył, że tu ma skrócić na Mittersteig, czy miał zwyczaj zachodzić od innej strony ulicy — dość, że uniknęłam nagłego spotkania, którego tak się obawiałam (gdybym miała więcej przytomności, mogłam być skryć się w pierwszej lepszej bramie). Tymczasem on, nie oglądając się, ani nie zbaczając, przeszedł poniżej wzdłuż wylotu ulicy i nie przeczuwał, że o dwadzieścia kroków jego młoda rodaczka stała drżąca i wzburzona, jak przychwycona na gorącym uczynku zbrodniarka.

VI.

Od tego czasu wzrosła moja ciekawość do dzienników i krytyk artystycznych. Przeglądałam je pilnie, przy czem nawet feljetonny nie uchodziły mojej uwagi. Pod tym względem oszczędzano mi trudu. Zewsząd schodzili się znajomi, którzy widzieli u nas w domu młodego artystę, i opowiadali o swoich wrażeniach. Pochwalam nie było końca, a ja paradowałam przed matką, przy czym ogarniała mię tak wielka radość, jakiej dotychczas nie znałam.

Teraz najgorętszym mojem marzeniem było: ujrzeć „Warszawę“. Trudno wyjaśnić, dlaczego nie przyszło mi do głowy odwiedzić wystawę i obejrzeć oryginały. Zapewne nie mogłam: tym względzie zawierzyć nikomu, a pójść samej poprostu nie wypadało.

Nagle we wszystkich prawie magazynach sztuki ukazała się „Warszawa“. Na Kohlmarkecie, na Grabenie, na Neuer-Markecie... wszędzie mogłam ją za wystawami oglądać. Raz i drugi

przechodziłam trwożliwie obok okien, gdyż w północnych Niemczech uczono mnie, iż nie przystoi młodej damie zatrzymywać się przed wystawami sklepowymi, a zwłaszcza przed magazynami sztuki. Jednak walka ze sobą nie trwała dłużej, niż od Grabenu do Kohlmarktu i tutaj, na rogu Planckengasse, przystanąłam koło firmy „Paterno”. Ujrzałam obrazy a zapagnąć je posiadać — było dziełem jednej chwili. Dwanaście guldenów za cały cykl — toż to drobnostka w porównaniu z takim skarbem. Nie namyślając się dłużej, wstąpiłam do sklepu i nabyłam tekę z siedmioma rycinami. Przy tej sposobności dowiedziałam się, jak niebawem szybko rozpowszechniła się „Warszawa”, i jaki znakomity interes zrobił nakładca, zapewniwszy sobie ze strony artysty — za stosunkowo drobną kwotę — prawo fotograficznych reprodukcji.

Szczęśliwa z cennej zdobyczy, spieczyłam z moją teką do domu.

Nie mając własnego pokoju, przebywałam zazwyczaj w salonie, a ponieważ pobierałam jeszcze lekcje i dużo uczyłam się, czytałam i pisałam, pozostawiano mi samą, jak tylko drzwi za sobą zamknęłam. Naturalnie stało się tak i tego dnia, zwłaszcza, że mama była jeszcze na wsi, by dać pewne polecenie w kwestji urzędzenia letniego mieszkania*). Kapelusze i płaszcze szybko znalazły się w rogu kanapy. Byłam w okresie „Sturm und Drang”, to też północno-niemieckie przepisy porządku były u mnie w nader powierzchownym poszanowaniu. Usiadłam przed moim biurkiem i rozpostarłam przed sobą szarą tekę, otoczoną cierniowym wieńcem.

Karton I.: Oto prawy kapłan, otoczony dymem kadzidła, z głową schyloną w świątobliwej pokorze, wznosi wysoko monstrancję ku mistycznemu prorokowi świątyni, gdzie dusze zgromadzonych jednoczą się w modlitwie i błogosławieństwie. Na obliczu jasnowłosego młodzieńca, który porusza kadzielnica, maluje się anielski wyraz szczęśliwości z najszczerzej płynącej wiary.

Karton II.: Wieczór. Tu niema już ołtarza ani kapłana; jest tylko lud, pogrążony w modlitwie, w plastycznej grupie pod lukiem bocznej nawy. Bezgrzeszna niewinność we wzniesionym wzroku i złożonych rękach młodej dziewczyny, zastygła powaga matrony, zatopionej w książce, biała głowa starca, którą złamany cierpieniem podpira prawica, młoda kobieta o zasłoniętej(?) twarzy, oplakująca uwieszonego małżonka, a przed nią chłopak, który, przejęty boleścią matki, nie może wyprostować wątlęgo ciała; opiera się o ławkę kościelną. Przed nią na posadzce świątyni usiadła młoda prosta kobieta z ludu; nie może klęknąć, gdyż przy piersi trzyma niemowlę, a obejmując prawą ręką drugie dziecko, kieruje osłupiały wzrok ku wejściu do zakrystji. Stamtąd bokiem zbliżają się Rosjanie, tam błyszczą bagnety, tam ukazują się dziećmi kozacy, by przeszkodzić pieśniom i przerwać modlitwy. Oto dlaczego piękna twarzyczka klęczącej obok płowowłosej dziewczynki jest trupio biała, a jej drżąca postać tuli się do matki. Tak, to napewno kozacy; da-

dzą ognia, jeśliby nienawistna patrijotyczna pieśń kościelna natychmiast nie zamarła.

Karton III.: Chłop i szlachta. Oto przez wieki rozdzieleni, tu idą w zgodnym ze sobą złączeniu. U boku chłopa dwie rasowe postaci w malowniczych szlacheckich narodowych strojach. Pierwszy z nich, magnat, kroczy, zamknięty w sobie, z pełną powagi dumą; drugi szlachcic o łagodnym wyrazie oblicza, w ciężkiej żalobie, z pochyloną głową, lewa ręka na szabli, prawą podpira ramię wieśniaka w długiej białej sukmanie, trzymającego sztandar, którego szerokie fałdy pieszczotliwie obejmują postaci obu szlachciców. Z wiarą i nadzieją patrzy w górę szlachetna twarz chłopa; z niego to kiedyś ma moc się narodzić. Tak idą poważnie i w milczeniu, różne snując myśli; idą za trumną księcia Kościola, który padł(?) ofiarą prześladowania.

Karton IV.: Żydzi. I oni są tutaj, dzieci Izraela, tak nieuchronni na ziemiach Polski. Uważani przez naród za obcych, niezłączeni z nim, lecz wydzieleni, jako coś odrębnego, niby wają się mu u nóg, by go chytrze i podstępnie wyzyskać. Dopiero męczeństwo patrijotów zniósło na chwilę tę niebawalą zapórę. Gmina wysłała swego rabina w futrzanej czapce i w całunnie na pogrzeb innego rabina i patrijoty. Wprawdzie zmarły był biskupem, dla nich pozostał rabinem. Poważne oblicze kapłana, ocienione czapką i krzaczastymi brwiami, patrzy w zamyśleniu przed siebie, a jego ocieślała postać wspiera się na gibkim, naprzd pochylonym mężczyźnie o najczystszej żydowskiej twarzy. Przy boku rabina — być może na jego polecenie — kroczy wyniosły, okryty długim futrem, z założonymi przed siebie rękami, przebiegły i z wyższością chytrym oczyma patrzący żyd, on, najprzedniejszy z ludu, o charakterystycznym obliczu, o długich spadających na policzki lokach i o okrągłej ostro zakończonyj brodzie.

Karton V.: „Jeden z wielu”, który przed prześladowaniem do kościoła schronić się pragnął, by w modlitwie szukać ukojenia. Słynał zapewne z miłości ojczyzny i nieugiętych przekonań. Jeszcze stopa jego nie zdołała przekroczyć progu ocalenia, gdy strzał śmiertelny go dosięgnął. Chwył za serce — stłanianie się — szukanie oparcia — upadek... i oto legnie trup na „Placu Zygmunta”.

Karton VI.: Oto w skromnym kościółku przed bolesnym obrazem Mater Dolorosa (?) stoi w ciężkiej żalobie przedwcześnie owdowiała kobieta, trzymająca za rękę dwóch wątłych chłopczyków. Samotne: ona i dzieci. Niema jej boleść i niema modlitwa.

Karton VII.: Zamknięcie kościołów. Nie otworzą już więcej domów bożych dla wdów i sierot, dla uciśnionych i uciemięzonych. Siłą wtargnięto przez drzwi wylamane, a poranionych kapłanów zmuszono do zamknięcia kościołów. Oto stoi dwóch mnichów przed ciężkimi, blachą obitymi drzwiami. Jeden z nich o bladym obliczu, z przestrelonym habitem, z obandażowanym czołem, zacięty w swym bólu, obraca ciężki klucz w potężnym zamku. Obok młody bracieczek bada i nadśłuchuje, a we wzroku i na twarzy maluje się głęboka zawziętość i fanatyczna nienawiść.

Zatopiona w tem wszystkim nie zauważyłam wejścia mej matki, która — zanim się spostrzegłam — stanęła nade mną. Karta tytułowa z wieńcem cierniowym i nazwiskiem artysty objaśniła ją odrazu.

— Oddawna chciałam z tobą pomówić o Grottgerze — zaczęła — lecz wstrzymywała mnie od tego twa przekorna natura. Ponieważ nie jesteś pełnoletnia, mam prawo opiekować się tobą. To też zamknęłam dom przed Grottgerem, skoro spostrzegłam, dokąd cie twa egzaltacja zaprowadzić może. Nie poto tyle łożyłam na twoje wychowanie, by cię wydać nędzemu losowi zostania żoną malarza.

— Zostać żoną Grottgera byłoby sławą i zaszczytem — odrzuciłam siłnie podnieciona.

— Być może. Przyszłość to okaże. Narazie mam wątpliwości co do jego materjalnych stosunków, a sądzę, że przykład w sąsiedztwie jest dosyć wymowny.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Pozostałam rozgoryczona i zawzięta. W podobnym tonie wyrażać się o Grottgerze, tak o nim mówić, stawiać go na równi z tym nędznym fotografem-kolorystą, który dotychczas mienił się nauczycielem — to było oburzające.

Siedziałam bez ruchu z łokciami opartymi o stół, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Oto list, który do mnie napisał — usłyszałam znowu głos matki — może kiedyś stanie się dla ciebie cenną pamiątką. Jeśli dzień przedtem list sfingowany do ciebie wysłać kazalam, sądziłam, że Grottger, obrażony, nie odpisze, a chciałam ci oszczędzić daremnego oczekiwania. Ale, ale, w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy na wieś, a z końcem maja jedziemy do Londynu na wystawę.

Podniosłam się, by list odebrać, jednak nie usiadłam zpowrotem, kiedy znów pozostałam sama. Trzymałam kartkę w rękę, lecz jej nie rozwijalam. Wzruszona, błądziłam po pokoju. „Warszawa”, list od Grottgera — podróż do Londynu... wszystko naraz... tego było za wiele!

Zwolna powracał spokój. Usiadłam na fotelu przy oknie; ponieważ wówczas nie byłam jeszcze „nerwowa”, więc ręce mi nie „drżały”, i całkiem wyraźnie czytałam każde słowo pięknego, równego, jakby cyzelowanego pisma:

Słuszne jest mniemanie Czcigodnej Pani, iż Jej Pismo dotknie mnie niemile. Tych kilka słów ubodło mnie dotkliwie, niż to Pani sobie wyobraziła może. Jakkolwiek pełne były delikatności, odebrały mi bezpowrotnie jedną z najpiękniejszych uciech młodości; dobrodziejstwo uczucia, że posiadam przyjaźń tkliwego szlachetnego niewieściego serca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przy reumatyzmie

ASPIRYNE
 produkt wyrabiany
 w Polsce

*) Pewne pomieszczenie dat. „Warszawa” wystawioną była w listopadzie i grudniu 1861 a nie na wiosnę.



Metamorfozy fryzur kobiecych



Grecja — r. 350 przed Chr. Rzym — r. 100 po Chr.

Ladne uczesanie głowy podnosi niestychanie urok postaci. Nic więc dziwnego, że nie tylko dziś w dobie wysokiego kunsztu fryzjerskiego panie zabiegają o piękne uczesanie, ale... działo się tak zawsze. Śmiem twierdzić, że nawet Ewa w raju nie pozwałała swym splotom układać się jak chciały, lecz tak jak było najbardziej do twarzy.. Kobiety zawsze doceniały rolę fryzury, lecz oczywiście w ciągu wieków różny bywał ów probierz piękna. Dziś, aż trudno uwierzyć, aby mogły się podobać metrowej wysokości fryzury z sadami, okrętami — z epoki Marji Antoniny. Lecz zacznijmy od początku (o ile go wogóle dociec można)...

Moda jest zwierciadłem czasu, w którym zewnętrznia się dusza kobieca, a niepoślednią częścią mody jest fryzura. Dopiero na 3000 lat przed Chrystusem pierwszy raz znaleźć można wieści o fryzurze, gdy Egipcjanki nie zakrywając niczem ciała, cały kunszt estetyczny wysilały w kierunku, jak najpiękniejszej fryzury. Następne pokolenia zaczęły nosić suknie, a we włosy wpinaty kwiat lotosu. Egipcjanki miały włosy do ramion opuszczone, z grzywką nad czołem.

Skromnie uczesane były Greczynki. Długie włosy, zaczesane do tyłu spinały w kok, który trzymał się dzięki przewiązaniu wstążkami, opasującymi również głowę. Poza tem Greczynki nosiły luźno opuszczone sploty, spadające na plecy. Pomimo prostoty uczesania używały one żelazka które już dawno przedtem wynaleziono w Egipcie. Mężczyźni tymczasem przesiadywali u fryzjera, który usztyniał wąsy i brodę, ale... głównie dlatego, aby posłyszeć nowinki, gdyż fryzjerzy od najdawniejszych czasów znani byli jako... plotkarze.

Traktat, poświęcony fryzurze, napisał już Owidjusz w swoim ARS AMANDI. Jakkolwiek Owidjusz znał się na fryzurze, nie pisze nic o tem, że Rzymianki gdy od Gallijek zdobyły środek rozjaśniający włosy, nie miały nic lepszego do roboty, jak zamienić kruche włosy na kolor złocisty, lub rudo-czarny. Córy Rzymu przedkładają koafiurę bardziej kunsztowną, całą głowę zdobią tysiącami loków, misternie fryzowanych. Wraz z przepychem życia moda także staje się wyszukana i wykwiłtną, aby po upadku Rzymu odzwierciadlać znów pierwotny „modus vivendi“. We wczesnych okresach średniowiecza na uczesanie nie zwraca się uwagi, by później w epoce wybujałej religijności i mistycyzmu ukryć i zatajać wszystko, co może budzić grzeszne myśli. Włosy znikają ukryte pod czepcem lub innym nakryciem, z którym kobiety nie rozstają się. Renesans odkrywa głowę, by ukazać ją okoloną włosami, zwykle gładko zaczesanymi, lub ozdobioną pasemkami włosów, spływających z nad ucha. Zaczynają pojawiać się we włosach przeróżne ozdoby z pereł i drogich kamieni. Wczesny okres odrodzenia pozostawia por-

trety dam z odsłoniętem, czołem do góry zaczesanemi włosami lub z spływającemi wolno dookoła głowy, przy końcu skreconemi w loki.

Uczesanie jest zawsze uzupełnieniem i odpowiednikiem stroju. Główni infantek Velasqueza rażą ogromną fryzurą niedługich, lecz usztynionych mocno włosów, tak, że szerokością koafiura dorównywała ramionom, a wielkie krynoliny czyniły majestatyczne i pompatyczne wrażenie. W tym czasie (połowa XVII w.) czoła pań francuskich zdobią filuterne loczki, a długie łoki spadają na wydokoltowane ramiona.

I oto zaczyna się okres panowania najmniej gustownej fryzury który trwa bardzo długo, bo przeszło sto lat. Gwałtowną zmianę mody we Francji, a co za tem idzie w całej Europie przypisać podobno należy następującemu zdarzeniu. Któregoś dnia młoda ko-



Paryż — r. 1937.



W kole: Wiedeń — 1908.



Nanette Kaula — r. 1829.



Anglia (Gainsborough) — XVIII w.

chanka Ludwika XIV madame Fontanges podczas polowania związała pończochą do góry wszystkie włosy. To uczesanie zyskało wielki zachwyt „Roi Soleil“ i od tego dnia wszystkie damy zaczęły podnosić włosy do góry. Wkrótce połowa postaci kobiecej przypadała na brodę, gdyż fryzura nierzadko dosięgała metra wysokości... Wieże na głowie pań tak rosły, że w powozach trzeba wybijać otwory, aby pani i jej koafiura mogły odbyć szczęśliwie przejażdżkę.

Wczesne rokoko zadawalnia się drobnymi loczkami. Panowanie madame Pompadour — to wladztwo wymyślnej fryzury, która stanowi clou umiejętności ubrania się. Nadworny fryzjer Pompadour-Dagé otrzymuje ro-

czną gażę w wysokości 250 tysięcy franków, ale zato musi znosić zmienne kaprysy wielkiej damy. Lecz właściwie na najwyższe szczyty dosłownie wznosi się fryzura za panowania Marji Antoniny. Za mistrzowskie wykonanie artystycznej fryzury płaci się bańskie sumy, przy których wynagrodzenie Dagégo jest kieszonkowym groszem. Stopniowo wstążki i loki nie wystarczają, na głowach pań zaczynają się pojawiać: ogrody warzywne, stada owiec, wieże, grotty, improwizowane źródła, kołyski z dziećmi, okręty i inne tym podobne „drobiazgi“. Nic dziwnego, że najważniejszym rekwizytem wytwornej pani, nieodłącznym jej towarzyszem staje się „grattoir“, specjalnie wymyślony instrument do... drapania, gdyż na tak dużym terytorjum pewne insekty miały rozległy teren działania.

W międzyczasie wybucha rewolucja, która zdmuchuje te piramidy z lekkomyślnych główek. Z początku skłania się koafiura w stronę Grecji, a potem z Rzymu sprowadza się koafiurę Tytusa. Bidermajerowskie loczki są miłe i bezpretensjonalne, a przyczyniają się niemało do zaakcentowania wdzięku i urody. Później fryzura staje się skromniejszą: rozdziałek przebiega przez środek głowy, uczesanie zdobią zaledwie tylko lekkie fale, włosy są zaczesane do tyłu. A potem... w początkach XX wieku, aż do wybuchu wojny fryzura spełnia rolę oszpecania kobiety, a nie swą naturalną funkcję podnoszenia jej. Ponieważ nie wystarczają już własne włosy, pomaga się postizami, aby koafiura była jak największą, jak najbardziej reprezentacyjną.

A wreszcie panuje bezapelacyjnie zdanie Ben Akiby: *wszystko piękne już było. I „bubikopf“ i „garsonka“ i wymyślne loczki, którym hołduje piękna pani anno domini 1937.*

Krystyna Dienstl-Kaczyńska.



Poniżej: Katarzyna Botzaris — r. 1841.

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie IX.

Opisane w poprzednim numerze ćwiczenie gimnastyczne, z pomocą którego dążymy do wzmocnienia poczucia równowagi na-



Pozycja pierwsza.

szego ciała podczas wykonywania pewnych ruchów, uzupełnimy dziś dalszym ćwiczeniem. Polega ono na kolejnym wyrzuceniu rąk to w lewo, to w prawo, przyczem w pierwszym wypadku ciężar ciała spoczywa na lewej nodze, prawa zaś dotyka luźnie posadzki zgięta trochę w kolanie (pozycja pierwsza) i naodwrot. Biodro, przegięte w kierunku wyrzutu rąk, wysuwa się w bok. Ćwicząc, musimy pamiętać o tem, aby praca naszych mięśni odbywała się równocześnie i szybko.

Teraz z kolei przechodzimy do drugiej pozycji, może najtrudniejszej, która powstaje przez podniesienie to jednej, to drugiej nogi, wskutek czego w okresach kilkuminutowych (z początku tylko parusekundowych) ciało nasze utrzymać się musi na jednej nodze. W tych „przykrych“ momentach chcielibyśmy znaleźć koło siebie jakieś oparcie — stół, krzesło, lub choćby szafę. Ale właśnie o to chodzi, aby obejść się bez takiego oparcia i odnaleźć je w samym sobie przez odpowiednie przesunięcie punktu ciężkości ciała. Początkowo, naśladowując ptaki, które znajdując się w powietrzu wyrównują pozycję lotu przez pewne ruchy rozprostowania skrzydeł, rozkładamy ręce i poruszając nimi, staramy się zapobiec upadkowi, względnie opuszczeniu podniesionej nogi. Potem, gdy dojdziemy już do pewnej perfekcji, wy-

eliminujemy z ćwiczenia udział rąk i będziemy się starali utrzymać na jednej nodze bez ich pomocy.



Pozycja druga.

Młodzieńczy blask i żywość oczu to jeden z najcenniejszych skarbów urody. Nie wolno o tem zapominać nikomu. A strzec skarbu tego jest naszym obowiązkiem. Jeżeli o nim zapominamy i dopuścimy do katastrofalnych zmian, odzyskanie tych wartości przy pomocy środków sztucznych jest już bardzo trudne, a wielokrotnie wprost niemożliwe.

Wiele kobiet wygląda starzej nad swe lata przez zaniedbanie pielęgnacji oczu. Oczy matowe, zapadłe — a powieki zaczerwienione, obrzękłe, z torbami pod oczyma i żółtymi obwódkami, oto co postarza wygląd nawet i najmłodszej twarzy. Tymczasem żywe oko, bystre spojrzenie, dobrze utrzymane powieki, odmładzają nawet twarz pomarszczoną, pokrytą siwym już włosiem.

Trzeba więc koniecznie dbać o swe oczy. I to nie odkładając sprawy do jakichś późniejszych terminów i rozpocząć pielęgnację odrazu. Wymagania higieny oka nie są tak skomplikowane aby ich nie można było zastosować bez szkody dla codziennych zajęć.

A więc nie przesiadywać po nocach, czytając w złym oświetleniu. Gorzej jeszcze odbija się w skutkach na wyglądzie oczu przebywanie dłuższy czas w zadympionym powietrzu restauracyj i kawiarni. Niestety, daleko u nas jeszcze do takich urządzeń wentylacyjnych, jakimi chlubi się zagranica, gdzie



Przemycanie oczu herbatą.

ZACZERWIENIONE POWIEKI to więcej, niż siwe włosy

nawet w kinach, mimo iż pali się papierosy, powietrze ciągle przepływa i skutkiem tego pozbawione jest wszelkich zanieczyszczeń szkodliwych nie tylko dla oczu, ale i dla całego organizmu.

Panie, uprawiające sport automobilowy, niechaj nie zapominają nigdy okularów do podróży w otwartym wozie. Jednorazowe nawet zapomnienie powoduje trudne na długo do odrobienia straty w zdrowym wyglądzie oka.

Zółte obwódki i torby pod oczyma, u młodych zwłaszcza osób, nie dadzą się usunąć bez pomocy lekarza, gdyż muszą mieć przyczynę powstania w wewnętrznych niedomaganiach. Nie wolno w takich wypadkach odwlekać sprawy i koniecznie trzeba szukać porady lekarskiej. Kuracja w takich wypadkach, poza środkami zapobiegawczymi, polega na zachowywaniu większych wycoczynków, robieniu okładów z letniej wody różanej, w której rozpuszcza się ałun, wedle propozycji, podanej przez lekarza.

Aby jak najbardziej zniwelować widok obwódek i torb pod oczyma, trzeba przy makijażu stosować róż tłusty, którym podchodzi się wysoko od policzków ku oczom, nie używając już żadnego kosmetyku dla dolnej powieki.

Ale wróćmy jeszcze do środków zapobiegawczych przedwczesnemu postarzeniu oczu. Pozwalajmy oczom codziennie wypocząć przynajmniej dziesięć minut w ciągu dnia, przy zamknięciu powiek. Nasze babki wiedziały o tem dobrze i zawiązywały sobie

w ciągu dnia oczy czarną wstążką właśnie dla wypoczynku.

Doskonałym środkiem ożywczym dla oczu i powiek jest przemywanie ich rano i wieczorem przestudzoną herbatą. Kto używa stale kosmetyków, niech raz na kilka dni da odpocząć oczom i nie używa niczego do powiek.

Również i pewnego rodzaju gimnastyka potrzebna jest dla utrzymania jak najdłużej pełnego blasku i żywości oczu. Polega ona na poświęceniu chwilek dziennie na poruszanie oczyma w prawo i w lewo, w górę to w dół. Przy podnoszeniu oczu w górę trzeba uważać, aby nie marszczyło się czoło, co z początku może się nawet wydawać trochę trudne, ale po kilku próbach zawsze się udaje. Trochę trudniej jest podnosić nieco brwi bez fałdowania czoła a i to ćwiczenie dobrze działa. Ostatniem wreszcie ćwiczeniem będzie delikatny masaż skroni obydwoma rękami równocześnie, naciskający skórę w kierunku ku włosom.

Na tego rodzaju zabiegi, mające na celu sprawę tak ważną, jak zachowanie młodzieńczego wzroku, żywości spojrzenia i należytej oprawy oczu, trzeba koniecznie przeznaczyć trochę uwagi i codziennych zabiegów. Powiedzą panie, że nasze rady są nieczem nowem. — Zgadamy się z tem, ale to są środki, które są stale zaniedbywane, więc trzeba je było koniecznie przypomnieć.

Elwira.



Masaż skroni.

Z STRZELBĄ

i wędką



Zapóźno na strzał... zwierzyna uszła już w gąszcz lasu.

Na prawo: Milo jest odpocząć po trudach polowania, gdy torba myśliwska pełna jest ptactwa. Praktyczny, pod szyję zapięty żakiet chroni przed chłodem wczesnego poranka.

Niema dziś prawie gałęzi sportu, w którejby kobiety nie brały czynnego udziału, dochodząc niejednokrotnie do pierwszorzędných wyników. Myślistwo należy do sportów, zdawiedawna przez kobiety uprawianych i cieszy się ich specjalnymi łaskami. Oprócz popisów zręczności w celnym strzelaniu, stanowią łowy obszerne pole do wykazania fizycznej sprawności i wytrzymałości, dając przytem możność bliskiego współżycia z dziką przyrodą, podpatrywania jej tajemnic i jej największych uroków. Toteż historia najdawniejszych czasów mówi nam o kobietach-łowczyniach, a grecka mitologia zaliczała do najbardziej czczonych bogiń młodzieńca, smukłonożą Djane, zachowując nam w rzeźbie piękno jej gibkiej postaci, goniącej jelenia z łukiem i kofczanem.

Nowoczesna Djana, ponad efe-

ktowne jesienne łowy z nagonką czy „par force“, będące właściwie raczej zabawą towarzyską, przekładać będzie zawsze samotne lub w małym gronie wyprawy do lasu, długie zasiadki na rogacze, emocjonujące polowanie na dzikie ptactwo o zmroku nad wodą i te niekończące się wędrówki po lasach i polach, w czasie których obcuje się bezpośrednio z przyrodą i przebywa w zasięgu jej niezmaconego piękna i spokoju. Nie chodzi tu bowiem tylko o okazję do strzału, o łup obfity, świadczący niezawsze tylko o zręczności, lecz często poprostu o szczęściu myśliwego, ale przede wszystkim o sposobność do poznania zwierzęcia w przyrodzie, jego zwyczajów, sposobu życia, jego kryjówek itd. Prawdziwy bowiem myśliwy jest zawsze i przede wszystkim miłośnikiem przyrody i świata zwierzęcego.

* * *

Pst... Cicho... Kobiety zazwyczaj nie lubią milczeć, ale rasowa „nemrodka“ potrafi milczeć i całą godzinę (bez żartów!) gdy chodzi o to, aby nie spłoszyć zwierzyny. A zresztą piękno lasu o tajemniczej godzinie świtania jest tak przejmujące, że na słowa niema ani miejsca, ani ochoty. Nim pierwsze promienie wślizgną się bezszelestnie na szorstkie pnie drzew i poprzez gałęzie i liście rozsnują swoją świetlistą pojęczyne, głosy lasu zaczynają się budzić z nocnego milczenia. Pierwsze odzywają się ptaki. Zrazu nieśmiały i jakby senny, świerkot ich wzmaga się i potężnieje, aby gdy wschodzące słońce przeszyje złotymi strzałami gęste poszycie leśne, rozbrzmieć wibrującą, radośną fanfara.



Oryginalny strój myśliwski, wiernie skopjowany ze wzorów męskich, do którego tylko filcowy kapelusik wprowadza akcent kobiecego dressu.

Wszystkie zdjęcia fot.: Imre v. Saniho.

Robi się coraz jaśniej. Krople rosy zaczynają błyszczeć i mienić się tęczami na liściach i gałęziach — wilgotne mchy, jeszcze przed chwilą podobne do puszystego czarnego pluszu, nasiakają zwolna głęboką zielenią. Pnie drzew z brunatnych robią się złote — powietrze nasycza się przesianym przez gąszcz gałęzi słońcem.

U stóp potężnej sosny, niedaleko źródła, u którego pieć przychodzą leśni mieszkańcy, czekamy na zwierzynę. Chłód poranka nas nie przeraża, gdy gruba, choć przewiewna, wełna naszego myśliwskiego kostjumu chro-





i bezpośredni kontakt z naturą i posiada bezsprzecznie dużo uroku.

Piękna pani, uprawiająca wędkarstwo nie zapomni o tem, że celowy i praktyczny strój jest tak samo ważny, jak pierwszorzędny sprzęt rybacki. Suknie jej, o prostym kroju, pozwalającym na swobodę ruchów tak niezbędną np. przy długich wędrówkach wzdłuż brzegu rzeki za złowionym łososiem, uszyte są z niemięnego się materiału, w kolorze praktycznym i niezbyt jasnym. Najładniej wyglądają odcienie zielone, stalowe i niebieskie, harmonizujące z kolorem wody i otaczającego krajobrazu. Wykluczone będą suknie przeladowane zdobiami, krępujące ruchy lub zbyt wyszukane w kroju i prawdziwie elegancka sportsmenka potrafi uniknąć w nich wszystkiego, co by kolidowało z ich właściwym zadaniem.

Reasumując nasze uwagi o kostjumach, nadających się do polowania i rybołówstwa, pamiętajmy abyśmy się dostroili do otoczenia, co będzie naszym mimikry, działającym zarówno praktycznie, jak estetycznie.

Lady Like.

ni nas od zimna. Mimo, że jest już prawie zupełnie jasno, najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby nas w tej kryjówce, gdyż stroje nasze dzięki „ochronnym“ barwom, zlewają się prawie całkowicie z otoczeniem. Myśliwski „dress“ wzoruje się na przemądrej przyrodzie, która dla ochrony zwierząt ustanowiła przezorne prawo mimikry. Szaro-zielony filcowy kapelusz zlewa się niemal z barwą mchów, a rdzawo-brązowy odcień tweedu, z którego uszyty jest nasz kostjum, nie odróżnia się prawie wcale od pni drzew. Wygodne, choć grube półbuty na elastycznej podeszwie pozwalają stąpać cicho a pewnie, a sportowe, ręcznej roboty pończochy lub sukienne kamasze chronią nogi od podrapania wśród gąszczy krzewów. Za chwilę, gdy słońce wtargnie aż w głąb cienistą lasu, zrobi się ciepło. Wtedy zdejmujemy zamszową kamicelkę i lekki wełniany szalik, związany na szyi, rolując je i umieszczając w pakownej torbie, której główny przedział przeznaczony jest na mniejszą zwierzynę. Polując w trudniejszym bardziej górzystym terenie, zamiast spódnicy nosimy „rodzaj „jupe-culotte“ lub nawet zwyczajne męskie pumpy, pozwalające na absolutną swobodę ruchów. Praktyczne są również buty myśliwskie z cholewkami wysokimi jak do konnej jazdy, niezbyt obcisłe, zrobione z miękiego boksu w kolorze brązowym. Często używanym na kurtki myśliwskie materiałem jest zamsz lub nieprzepuszczająca wiatru duwetyna, lecz przewiwnie tweedy są naogół znacznie przyjemniejsze w noszeniu, tembardziej, że można się zawsze ochronić od wiatru noszoną pod żakietem kamicelką ze skóry czy gęsto tkanej materji. Kamicelka taka, prócz ciepła, pozwala dodać myśliwskiemu dressowi pewnej barwności, gdyż jako noszona pod spodem, nie musi być koniecznie zbyt neutralna w kolorze. Do szarego kostjumu bardzo ładnie wygląda kamicelka ze skóry złotawo-brązowej, do brązowego — zielona lub musztardowo-żółta. Kolorów jaskrawo czerwonych należy unikać, zastąpić je można rdzawymi i ceglastymi odcieniami, noszonymi najchętniej w dressach przeznaczonych do jesiennych polowań, gdy liście przybierają czerwono-żółte barwy.

Elegancka sportsmenka z pod znaku Djan-y łowczyni, w wyborze swego myśliwskiego stroju kieruje się przedewszystkiem nakazami wygody i celowości — odsuwając ko-

Powyżej: Spodnie-spódnica i bluza ze skórzanym paskiem uzupełnione zamszowym beretem — to strój używany przez Angielki do wypraw rybackich na łodzi.

Na prawo: Sportowa suknia wełniana (spódnica-spodnie) coraz częściej noszona jest podczas lądowych wypraw rybackich...

kieterję i nakazy ostatniej mody na dalszy plan. Nic komiczniejszego i bardziej „niesportowego“, jak widok przesadnie eleganckiej i przesadnie kolorowo ubranej kobiety, dla której polowanie jest tylko pretekstem do zaprezentowania efektownego i najmodniejszego myśliwskiego dressu, w którego blasku stara się ukryć braki wytrzymałości fizycznej i nieumiejętność celnego strzelania.

* * *

Jednym z najmiłszych, szczególnie w Anglii, z zapalem uprawianych sportów letniego sezonu — jest rybołówstwo. Cóż może być miłszym wypoczynkiem jak przesiadywanie godzinami nad rzeką z wędką w dłoni? Z napiętą uwagą śledzimy unoszący się na wodzie pływak, czekając na charakterystyczne jego drgnięcie, sygnalizujące, że ryba chwyciła przynętę. Zajęcie to wymaga dużej cierpliwości, toteż „rybaczki“ o żywszym temperamencie wolą łowić ryby na sieć zw. czerpakiem, choć rasowy rybołowca gardzi tą metodą. Klasyczne wędkarstwo stanowi bowiem elitę rybołówstwa i syczy ci się ogromną fachową literaturą. Piękny ten sport — podobnie jak myśliwstwo — pozwala na bliski

Na morzu trzeba zabezpieczyć się przed wiatrem ideschcem, wdziewając impregnowane bluzy płócienne.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

CHŁODNIK RUSKI (OCHRÓSZKA). Pół litra surowego kwasu chlebowego (w braku tegoż może być barszcz żytni, ten ostatni musi być zagotowany i ostudzony) rozprowadzić zimnym rosółem, dokładnie obranym z tłuszczu, dodać soli i troszkę cukru oraz pół litra śmietany i dobrze roz mieszać. Wkońcu dodaje się łyżkę siekanego kopru, parę posiekanych, twardych jaj, kwaśnego ogórka lub głąbików drobno skrajanych, trochę racych szyjek lub pieczeni cielecej, pokrajanej w drobną kostkę. Postawić na parę godzin do lodowni.

ZUPA ZDROWÓTNA. 3 dkg drożdży rozciera się z 3 dkg masła, dodaje ½ litra wody i różne jarzyny, drobno pokrajane. W jarzynie musi być dużo pietruszki i seleru oraz dwa ząbki czosnku i parę ziarenek pieprzu. Wszystko gotuje się przez godzinę, poczem soli się zupe, wysypuje łyżkę grysiku i łyżkę siekanego ziół kuchennych, gotuje dalsze 10 minut i wlewa na roz tarte żółtko wraz z nieprzetartymi jarzynkami.

JAJA FASZEROWANE. Uciera się majonez z surowego żółtka i 4 łyżek oliwy, oraz soku z połówki cytryny. Do majonezu dodaje się siekany koper, szczyptę zielonej pietruszki, troszkę szczawiu, estragonu i listków selera. Kilka jaj ugotowanych na twardo, olupuje się i przekrawa wzdłuż. Żółtka rozciera się z łyżką masła deseryowego, dodaje połowę utartego z ziołami majonezu i napelnia tą masą połówki białek. Reszta majonezu rozrabia się z paru łyżkami bitej kremówki lub śmietany, wkłada na salaterkę i umieszcza na tem jaja.

KURCZĘTA NADZIEWANE KASZKĄ. Filiżankę kaszki krakowskiej (częstochowskiej) zacierą się całym jajem i suszy w piecyku na różowo. Dwie filiżanki wody zagotowuje się z troszką soli i łyżką masła, wysypuje wysuszoną kaszkę i gotuje na sypko, wstawivszy garnuszek do większego naczynia z gorącą wodą lub do skrzynki samowarka, w której się kasze najlepiej dogotowują. Ugotowaną kaszkę studzi się, dodaje do niej posiekane w trawki i odgotowane żółdki kurcząt, miesza z łyżką masła, utarta z całym jajem, napelnia kureczaki, zaszywa je i piecze na masle w piecyku, przy pilnem polewaniu, aby się nie wysuszyły. Podaje się przekrojone na połówki, garnirowane jarzynkami.

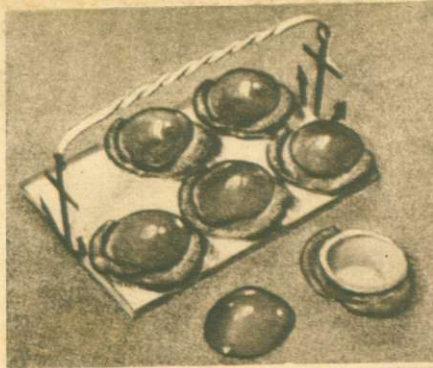
SZNYCELKI JARSKIE. 30 dkg główek szparagowych lub fasolki szparagowej, odparza się wrzątkiem, następnie gotuje się w słonej wodzie do miękkości. Osobno gotuje się na gęsto filiżankę grysiku lub łamanego ryżu (ten ostatni musi być przed gotowaniem w kilku wodach płukany). Grysik, wzgl. ryż, ugotowany ostudza się, soli, miesza z nim 6 dkg masła, łyżeczkę siekanej, zielonej pietruszki i 2 jaja oraz drobno pokrajane szparagi, czy też szparagówkę i formuje z tej masy małe krolecki, które się panieruje i wysmaża w wrzącym tłuszczu. Sznycelki podaje się na gorąco z sosem śmietankowym.

WIĘDEŃSKIE CIASTO Z WIŚNIAMI. 7 dkg masła uciera się na pianę, poczem dodaje się po trosze 10 dkg mączki cukrowej, 4 łyżki mleka i 3 żółtka po jednym. Dla zapachu dodaje się startą skórkę z połówki cytryny. Wkońcu wysypuje się 20 dkg sypkiej mąki, zmieszanej z połową proszku do pieczenia naprzemian z pianą z 3-eh białek, dodawaną po łyżce. Masę wyklada się na natartą masłem i wysypaną mąką formę, posypuje wydrełowanymi wiśniami, cukruje grubym cukrem i piecze w dobrze stopniowanym piecyku, aby ciasto miało czas się podnieść. Upieczone kraje się w kwadraty i posypuje mączką cukrową z wanilią.

SOK MALINOWY BEZ FERMENTOWANIA zachowuje swój cały aromat i piękną barwę rubinową, trzyma się doskonale i nie wymaga tylu zachodów, co sok fermentowany. Sposób przyrządzania jest następujący: Przebrane z liści maliny umieszcza się w garnku kamiennym i zalewa gotującą się wodą tak, aby były nią nakryte. Garnek pozostawia się w spokojnem miejscu przez 12–20 godzin, poczem wyciska się sok do grubego rondla, dodaje cukier, a po zupełnem rozpuszczeniu się tegoż w soku, gotuje się 15 minut, szumując. Przystudzony sok zlewa się do wyjałowionych butelek, korkuje, zalewa pechem i przechowuje sucho i chłodno. Proporcja cukru wynosi: na 1 litr soku 1 kg cukru.

KISZENIE GŁĄBIKÓW (na życzenie czytelnika). Głąbiki dokładnie olupane i obrane z drzewiastych części, kraje się wzdłuż w kilka kawałków i układa w słoju lub garnku, przekładając wyrośniętym, grubym koprem i ząbkami czosnku. Wkońcu zalewa się niegotowaną, przestudą wodą osoloną tak, aby głąbiki były przykryte, owiązuje lub przykrywa lekko, ażeby powietrze miało dostęp i stawia naczynie w ciepłe. Głąbiki kisa się krócej od ogórków, gdyż zwykle po dwóch dniach są już gotowe do użytku.

Se. Ko.



Przystawki rybne podaje się w specjalnych naczyniach i na osobnych talerzykach. Oto odpowiedni serwis w postaci czerwonych krabów, oryginalny i apetyczny.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Bez specjalnego naczynia trudno jest gotować na parze i przyrządzać podstawowe składniki sosów, majonezów, budyni i t. p. Ale oto zreprodukowany obok rondel ułatwia nam to zadanie, stając się bardzo praktycznym rekwizytem kuchennym.

7 ♦ DNI ♦ DOBREJ ♦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 29		Lipiec		31 dni
NIEDZIELA	11	Olgi, Pelagji	Chłodnik owocowy z grzaneczkami. Jaja faszerowane. Młoda gęś z kapustą parzoną. Wiedeńskie ciasto z wiśniami. Kolacja: Zimna gaska z głąbikami.	
PONIEDZ.	12	Jana Gwałb.	Ruski barszcz / ochroszka /. Sznycelki jarskie. Rozbef z jarzynkami. Kruchy placek z pianką poziomkową lub malinową. Kolacja: Grzybki duszone ze śmietaną.	
WTOREK	13	Małgorzaty p.	Rosół z francuskimi kluskami. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym lub głąbikowym. Kurczęta nadziewane kaszką. Krem malinowy. Kolacja: Fasola szparagowa i kalafior.	
ŚRODA	14	Bonawentury	Zupa ragoût z drobiu. Pomidory faszerowane. Pieczeń cieleca lub barania gigot z jarzynami. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Omlety z grzybkami.	
CZWARTEK	15	Henryka	Zupa z świeżych grzybków. Marchewka z groszkiem z grzankami. Wątróbka cieleca à la Nelson. Kompot mieszany. Kolacja: Pierožki z słodką kapustą.	
PIĄTEK	16	NPM. Szkapł.	Zupa rakowa z ryżem. Szpinak w omletach. Pstrągi na niebiesko z masłem i ziemniaczkami. Strudel z wiśniami. Kolacja: Pierožki z borówkami i śmietaną.	
SOBOTA	17	Aleksego	Zupa owocowa zimna. Omlet z pieczarkami. Młoda kaczka z sałatą. Knedelki z wiśniami. Kolacja: Kasza hreczana z kefirem.	

HOCKI-KLOCKI

PODPATRZONE W GARKUCHNI...



Klijent, który „dobną” do drzwi: Idę zawiadomić kucharza, że sos był nieco za gęsty!
(Ric et Rac).

Rozwiązanie z N-ru 27-go.

ZIELONE KRZYŻYKI.

Rozumowanie najszybszego z panów jest następujące: „Albo mój krzyżyk jest zielony, albo biały: jeśli jest biały, każdy z pozostałych kandydatów może zobaczyć jeden biały i jeden zielony krzyżyk. Ale również każdy z nich może widzieć, że drugi trzyma rękę podniesioną do góry. A ponieważ są inteligentni, pomyślą sobie: „Dlaczego drugi towarzysz podniósł rękę do góry? Dlatego, że może widzieć zielony krzyżyk, a ten krzyżyk musi być moim”. A ponieważ obydwa są inteligentni, to

rozumowanie nie zajęłoby im wiele czasu, więc obaj podnieśliby już obie ręce.

Jednak tego nie czynią. Więc mój krzyżyk nie może być biały — musi być zielony”.

PRACA.

Alfred wykona tę pracę w 60 dni, zaś Bolek w 40.

SIEDMIORO DZIECI.

Istnieje 5.040 sposobów rozmieszczenia dzieci, przyczem w 720 wypadkach na każdym końcu siedzi dziewczynka. Dlatego prawdopodobieństwo jest 720 na 5.040 możliwych wypadków, lub inaczej 1:7.



— Niechże się pan pośpieszy z pokrajeniem tego befsztyka! I tak zapłaci pan od uszkodowania za połamane noże i wyszczerbione piły!
(Ric et Rac).



Kucharz: — Czy nie widział pan przypadkiem mojego pomocnika?
(Ric et Rac).

Dokończenie ze str. 5-ej.

Przylączony do Polski po wojnach Krzyżackich nie tylko że zatrzymał dawne przywileje, ale znacznie mu je rozszerzył Kazimierz Jagiellończyk. Również i Stefan Batory chcąc ukarać Gdańszczan, przeniósł do Elbląga prawo składowe na towary, co też było powodem zemsty ze strony Gdańszczan, którzy z pomocą Duńczyków napadli na miasto 1577 roku. W wierności Rzeczypospolitej wytrzymało miasto do końca jej upadku, a dzieląc jej los w pierwszym rozbiórze, tj. 1772 roku, dostało się Prusom i przy nich też pozostało.

Mimo tych zatargów z Polską, które właściwie należałoby złożyć na karb cheiwości kupieckiej, nie brak było też i dowodów poświęcenia ze strony Gdańska. Liczne wojny szwedzkie dały mu pole do popisu i spłacenia długu wdzięczności zaciągniętego w Polsce. Broniąc sprawy narodowej do samego niemal upadku Rzeczypospolitej przy niej pozostał. W pierwszym rozbiórze Polski, kiedy Prusy Królewskie dostały się Prusom, wyłączono z nich Toruń i Gdańsk, który otrzymał miano Wolnego Miasta pod opieką Polski. Dopiero traktat drugiego rozbioru czynił Gdańsk miastem pruskim.

Każde z tych miast posiadało własną flotę handlową. Oczywiście, że w miastach nadmorskich była ona liczniejsza. Statki ich używały tej zazwyczaj bandery, pod którą miasto prowadziło handel. Tak więc bandery spełniały podwójną niejako rolę: Z jednej strony były znakami rozpoznawczymi dla kupców, którzy z temi miastami utrzymywali rozległe stosunki handlowe, z drugiej strony spełniały z powodzeniem rolę znaków ochronnych dla eksportowanych towarów.

Kraków, miasto handlowe miało dwie bandery: pierwsza była to zazwyczaj herb miasta w polu czerwonym. Druga z czasem zarzucona, była niebieską, ozdobioną orłem białym.

Bandera miasta Gdańska była także kolorem czerwonym, z dwoma białymi krzyżami i koroną polską nad nimi. Często jednak w miejsce krzyżów używano koron Królestw: Polskiego, Węgierskiego i Szwedzkiego, z którym to państwami miasto Gdańsk prowadziło ożywiony handel.

Elbląg pielęgnował kolory narodowe: biały i czerwony z dwoma krzyżami umieszczonymi w ten sposób, że krzyż biały znajdował się w polu czerwonym natomiast drugi krzyż czerwony w polu białym. Do tej bandery miasta Elbląga, zbliżoną była bandera szczecińska z tem, że inne było następstwo kolorów, biały u dołu, czerwony w górze, krzyż natomiast zastąpiono kwadratami.

Królewiec, przejmując od kupców krakowskich miejskie kolory, wprowadził banderę białą z trzema niebieskimi pasami. W półrodku bandery na białej tarczy umieszczono orła w kolorze czerwonym.

Inne miasta handlowe, o ile nie posiadały własnej bandery, używały bądź to bandery narodowej, bądź też królewskiej. Pierwsza z nich, to orzeł biały w polu czerwonym, druga także czerwona, ale orła zastępowano białą pogonią, albo tylko jej częścią, tj. ręką trzymającą miecz.

Oprócz wyżej wymienionych bander, powszechną w użyciu była jeszcze jedna bandera ogólna, pod którą pływały statki handlowe z zbożem. Utrzymana była w kolorze białym. Po jej przekątnej przeciętno niebieskie pasy. W prawym górnym rogu był kwadrat z krzyżem, także niebieskim, a na nim rozpięty orzeł polski.

Mgr. Bronisław Cetera.

Dokończenie ze str. 10-ej.

bolda po raz pierwszy. Między drugim i pierwszym spotkaniem minęło cztery i pół roku bez dwóch dni. Widzisz, że zachowałem

w pamięci dokładne daty. Co więcej, muszę stwierdzić, że między trzecim i czwartym naszym spotkaniem minęło także cztery i pół roku bez dwóch dni. Porównując te fakty, czuję się uprawnionym do oznaczenia dnia mojej śmierci na 16 lipca 1936 r., gdyż w tym właśnie czasie minie sześć lat i trzy miesiące od ostatniego mego widzenia się z cudacznym karzelem. Jestem, jak widzisz, wierny mej teorii „życiowej krzywej”...

Nachylił się i zaczął znów kreślić laską hieroglify na piasku chodnika. Widocznie dalsze zwierzenia uważał za zbyt techniczne. A może wstydził się swej szczerości?

Przyznaję, że pewność i spokój mego opiekuna wywarły na mnie wrażenie. Zresztą, nie mogłem spierać się z nim o hipotezy. Ani o rodzinne tradycje. Nie chcąc urazić staruszkę, zachowałem dyskretne milczenie. Rozmowa zesła potem na inne tematy. Ale o opowiadanej mi historii nie zapomniałem. Spotykaliśmy się później niejednokrotnie, ale żaden z nas nie wspominał nigdy ani o śmierci, ani o koboldzie. Przed dwoma laty straciłem go z oczu. Mówiono, że nie zagląda już do miasta i że cały czas spędza w swoim wiejskim dworku. Nie słyszałem jednak, aby był chory. To też wiadomość o jego zgonie zakoczyła mnie. W istocie, umarł, jak przepowiedział, dnia 16 lipca ubiegłego roku. Domownicy i znajomi, którym mówiłem często, że umrze w tym właśnie czasie, przebakowali coś o samobójstwie. Uważam przypuszczenie to za bezsensowne... Tak bezsensowne, że skłonny jestem przyjąć raczej hipotezę mego opiekuna i wierzyć, jak on, w powtarzanie się w wieku podeszłym wszelkich wrażeń i stanów przeżytych w młodości. Może miał słuszność. Może w myśl jego twierdzenia, każdemu etapowi naszego bytowania odpowiada każdy punkt na jej ramieniu zstępującym? Bądź co bądź, życie i śmierć stanowią dla człowieka dotąd nierozwiązalną zagadką.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

Wśród ostatnich nowości wydawniczych należy wymienić debiut powieściowy p. Alfreda Ludwaka pt.: **Gdy masz latarnie lila.** Rzec jest nierówna, lecz posiada rozdziały naprawdę pomysłowe. Nerwowo, obfitująco w wyszukane porównania styl utworu trzeba zaliczyć do dodatnich pozycji tego debiutu. Coprawda nie brak w książce p. Ludwaka pretensjonalności i poży, nie zawsze usprawiedliwionej bystrością obserwacji. Sporo w niej efekciarstwa i polowania na oryginalność. Bohater powieści, Andrzej Bilgoraj żyje w ciągłej tymczasowości, w jakimś nieustannym przewiorzaniu. Życie jego obraca się w zacierzanym kręgu owej „latarni lila“, przyczem barwa ta symbolizuje właśnie niezrealizowane projekty, niurzeczywistnione sny. To „lilowe“ niezdecydowanie zaznacza się przedewszystkiem w stosunkach z kobietami. Bilgoraj ślizga się tu i ani rusz nie może „zakotwiczyć“ uczuciowo. Kiedy już zdawałoby się, dobiega szczęśliwie do portu, jakiś mus wewnętrzny odpycha go od spokojnej przystani i każe uciekać dalej...

Nagrodzona przed dwoma laty przez Akademię Goncourtów powieść francuskiego pisarza, J. Peyré pt.: **Światła i cienie,** ukazała się obecnie w przekładzie polskim. Dzisiaj, gdy wszystko co dotyczy Hiszpanii czytamy ze szczególnym zainteresowaniem — utwór Peyré'go jest żywym przyczynkiem do poznania psychiki i obyczajowości Hiszpanów. Akcja „Światła i cienie“ rozgrywa się przeważnie w Madrycie. Na plan pierwszy wysunął autor postać słynnego ongiś „terrera“, który wycofał się z areny i spróbuje po dawnemu podbić serca bijące gorącym rytmem. Kulminacyjnym punktem powieści, jak łatwo się domyśleć, jest występ Ricarda. Czytało się już niemało opisów tych igrzysk: chwalono to jedynie w swoim rodzaju widowisko, potępiano, traktowano epikę lirycznie... Pisarz francuski nie stara się być sędzią, ani apologetą, ogranicza się do roli interesującego narratora.

Nowy zbiór wierszy młodego warszawskiego poety Eugenjusza Żyromskiego pt.: **Pierwsze przykazanie** zawiera utwory

ładkie i łatwe; autor nie usiłuje czynić wypraw odkrywczycy w zakresie techniki poetyckiej, poprzestaje na wypróbowanych sposobach wersyfikacji i obrazowania. Słychać też w jego utworach wyraźne echa prężnego słowa Tuwima, a jednak p. Żyromski nie należy do tych wierszopisów, którzy piszą, sami nie bardzo wiedząc pocóż i komu na chwałę. „Pierwsze przykazanie“ przynosi utwory różnego ciężaru gatunkowego. Pomińmy więc rzeczy słabsze i podkreślmy lepsze osiągnięcia.

Zrodzony najwidoczniej w promieniach rytmiki i metaforyki autora „Siódmej jesieni“ wiersz pt.: **Najpiękniejszy uśmiech** posiada zwrotki bardzo melodyjne, i miłe w swej prostocie. Jednym z lepiej wytrzymanych utworów jest także Fryne, w którym poeta odsłania zdolności konstruowania epickich obrazków, nie pozbawionych wątka fabularnego. W „Pieśni telegraficznych słupów“ odzywa się liryk, umiający konkretyzować swoje przeżycia w przystępnych i prostych obrazach. Dodajmy, że tego rodzaju impresjonizm uprawiał też J. A. Gałuszka, zamykając wzruszenie w rance odpowiednio dobranej i oświetlonego pejzażu. J.J.

NA SCENIE.

Jeszcze tylko bronia się najwytrwalsze sceny przed atakami lata, sezonu ogórkowego w dostojnej sztuce teatralnej. Inne zwinęły chorągiewki, wycofując się z pola walki. Teatry zamykają swoje „podwoja“ — cisza, wilgotny spokój osiada za kulisami.

Do broniących się twierdzi sztuki teatralnej zaliczyć trzeba kilka scen warszawskich. Ba, temi dniami wystąpi Ateneum z premierą sceniczną przeróbki głownej powieści Choromańskiego pt. „Zazdrość i medycyna“. Jednocześnie czołowe siły tego teatru przebywają na występach we Lwowie, gdzie wraz z Jaraczem demonstrują „Ludzi na krze“ — Wernera i komediijkę Birabeau: „Woźny i minister“. Jaracz pozostawił swój teatr na pastwę Szillera, który reżyseruje „Zazdrość i medycynę“. Jak będzie wyglądała przeróbka tej ciekawej i niezwykłej powieści? Siła wyrazu utworu Choromańskiego tkwi w nastroju, jaki autor zdołał wywołać rytmem opowiadania i obrazowaniem. Jakże sugestyjnie przeplata się przez karty jego książki motywy wiatru. Trzeba też

dodać, że postacie Choromańskiego mają charakter napół symboliczny. — Jak wybrną z tych trudności realizatorzy sceniczni? Wkrótce zobaczymy.

Do teatrów, co nie ustępują z placu w Warszawie należy też Teatr 8,45, który wystawił komedię muzyczną pt. „Koleta“. Pomysłowe libretto napisał Thomas Eunnoda (wersja polska J. Walden). W roli tytułowej ujrzelismy Lucynę Szczepańską. Poza tem: Igo Szyma, Rakowieckiego, Kraszewską. Na specjalne wyróżnienie zasłużyła jugosłowiańska tancerka Helena Tanasco; poważni krytycy wróżą jej piękną przyszłość.

Teatr krakowski także trwa na posterunku, zręcznie żonglując „Jaskółką z wieży Marjackiej“, przyczem kiedy to płasze zapowiada obniżenie lotu, w sukurs mu wyrusza sam „Bolesław Śmiały“, podpierając rycerskim ramieniem wiatr okruszyną. A kiedy z kolei ramię królewskie osłabnie, zastąpi je znowu podpora „Jaskółki“ — pułk. Penteczek — w realizacji Wyrwieża, który nie opuścił Krakowa w dniach spiekoty i stara się jak może, aby tu było radośnie. J. J.

LOWIECTWO W SZTUCE POLSKIEJ.

W miesiącach letnich urządziła warszawska „Zachęta“ wystawę, będącą odbiciem łowieckich zamówień właściwych naszemu narodowi. Łowy były grą rycerską, która przez długie wieki stała się zajęciem, wyładowującym energię szlachecką i łącznikiem w towarzyskim życiu ziemian. Łowy stały się też ulubionym tematem malarzy naszych od połowy XIX wieku. — Na warszawskiej wystawie zebrano w dziale retrospektywnym dzieła mistrzów tej mary co: Józef Chełmoński, J. Brandt, M. E. Andriolli, F. Ejsmond, J. Falat, M. Geryński, J. Kossak, W. Pawliszak, J. Suchodolski, H. Weyssenhoff, A. Wieruszko-Kowalski, M. Wywiórski. Wśród współczesnych malarzy warto wspomnieć dzieła Borucinińskiego, A. Bunsha, S. Czajkowskiego, S. Domaradzkiego, W. Hoffmana, A. Jakimezuka, S. Janowskiego, S. Karniewskiego, J. Klukowskiego, Jerzego Kossaka, K. Lasockiego, S. Norblina, A. Sarnowicza, J. Świryz-Ryszkieвича i S. Żukowskiego.

Wystawa cieszy się wielkim powodzeniem. mdd



Niedziela, 11 lipca.

- 8.00 Audycja poranna.
- 9.00 Dzień Morza w Gdyni (przez Toruń).
- 12.17 Koncert — transmisja z Parku Helenów w Łodzi.
- 13.25 Koncert Polskiej Kapeli Lud.
- 14.40 Audycja dla dzieci.
- 15.00 Audycja dla wsi.
- 16.00 Melodie operetkowe.
- 17.00 Słuchowisko „Świerzka zgasła“.
- 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie (z Wilna).
- 20.00 Piosenki (plyty).
- 21.00 Capstrzyk Marynarki Wojennej z Gdyni.

- 21.01 Dzień Morza w Gdyni — reportaż.
- 21.10 Rewja letniskowa — „A czy znasz ty bracie młody“.
- 22.00 Koncert wieczorny.

Poniedziałek, 12 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.15 „Odżywianie w czasie żniw“ — pogadanka.
- 12.25 Orkiestra Gwardyj grają (plyty)
- 12.40 Od warsztatu do warsztatu — „Białokrónictwo“ (z Wilna).
- 15.15 Recital fortepianowy Stanisława Nawrockiego.
- 16.45 Zagadkowi ludzie: „Kacper Bekiesz“ — feljton.
- 17.00 Koncert Wileńskiej Orkiestry.
- 18.05 Lekkie duety instrumentalne.
- 19.00 Audycja strzelecka.
- 20.00 Muzyka lekka i taneczna.
- 22.00 Minjatury kwartetowe.
- 22.35 Muzyka kameralna.

Wtorek, 13 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Orkiestra Reprezentacyjna Policji Państwowej.
- 16.00 „Podwieczorek pod lipą“ — ze Lwowa.
- 16.20 Dawne formy taneczne — recital fortepianowy.
- 16.45 Lato w Gościeradzu — feljton.
- 17.00 Muzyka.
- 18.15 Muzyka operetkowa.
- 19.00 „Za Króla Stasia“ — koncert.
- 20.10 Koncert rozrywkowy.
- 22.00 Koncert solistów.

Środa, 14 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.15 „Wieczne życie“ — pogadanka.
- 12.25 Orkiestra salonowa.
- 16.00 „Z mojego warsztatu“ — szkic literacki K. H. Rostworowskiego.
- 16.15 Pieśni w wykonaniu chóru męskiego „Ilejaln“ z Brzezina (z Katowic).
- 16.45 „Psychologia żołnierza w literaturze polskiej“ — odczyt.
- 17.00 Recital Miecz. Szaleskiego.
- 17.25 Pieśni francuskie.
- 18.15 Marjan Anderson i Beniamino Gigli śpiewają.
- 19.00 Słynni dyrygenci.
- 20.00 Koncert.
- 21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Róży Etkinówny.
- 22.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu orkiestry P. R.

Czwartek, 15 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.15 „Pierwsza pomoc przy skaleczeniach zwierząt“ — pogadanka.
- 12.25 Koncert orkiestry mandolinistów.
- 16.15 Muzyka salonowa.
- 17.00 Koncert solistów.
- 18.15 Orkiestra jazzowa Eugenjusza Wolffa.
- 19.00 „Poznać siebie trudno“ — nowela B. Prusa (z Torunia).
- 20.00 Muzyka lekka i taneczna.
- 22.00 Gra Gaspar Gassado (plyty).

Piątek, 16 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej F. Dzierżanowskiego.
- 16.15 Pieśni regionalne chóru mieszkiego „Oklet“ (ze Lwowa).
- 16.45 Reportaż Romana Zrębowicza z Wystawy paryskiej.
- 17.00 Koncert solistów.
- 18.10 Melodie Offenbacha.
- 19.00 Muzyka.
- 20.00 Muzyka lekka i taneczna.
- 21.45 „Poezja szumi morzem“ — kwadrans poetycki.
- 22.00 Koncert orkiestry wileńskiej.

Sobota, 17 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Utwory Moniuszki — koncert.
- 16.00 Słuchowisko — „Króliewicz i żebrak“.
- 16.30 Koncert orkiestry Adama Hermana.
- 17.15 Orkiestra kameralna pod dyr. Zbigniewa Dymka (z Katowic).
- 17.50 „Katowice w oczach turysty“ — pogadanka.
- 18.15 Chór Dana i Eryana (plyty).
- 19.00 „Od wyschnięgo końca Żywiczyńskiej płynie Sola“ — audycja podhalaska.
- 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą — „Tam gdzie są nasi rodacy“.
- 21.05 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doreczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doreczeniowego), a nie wprost do Administracji.